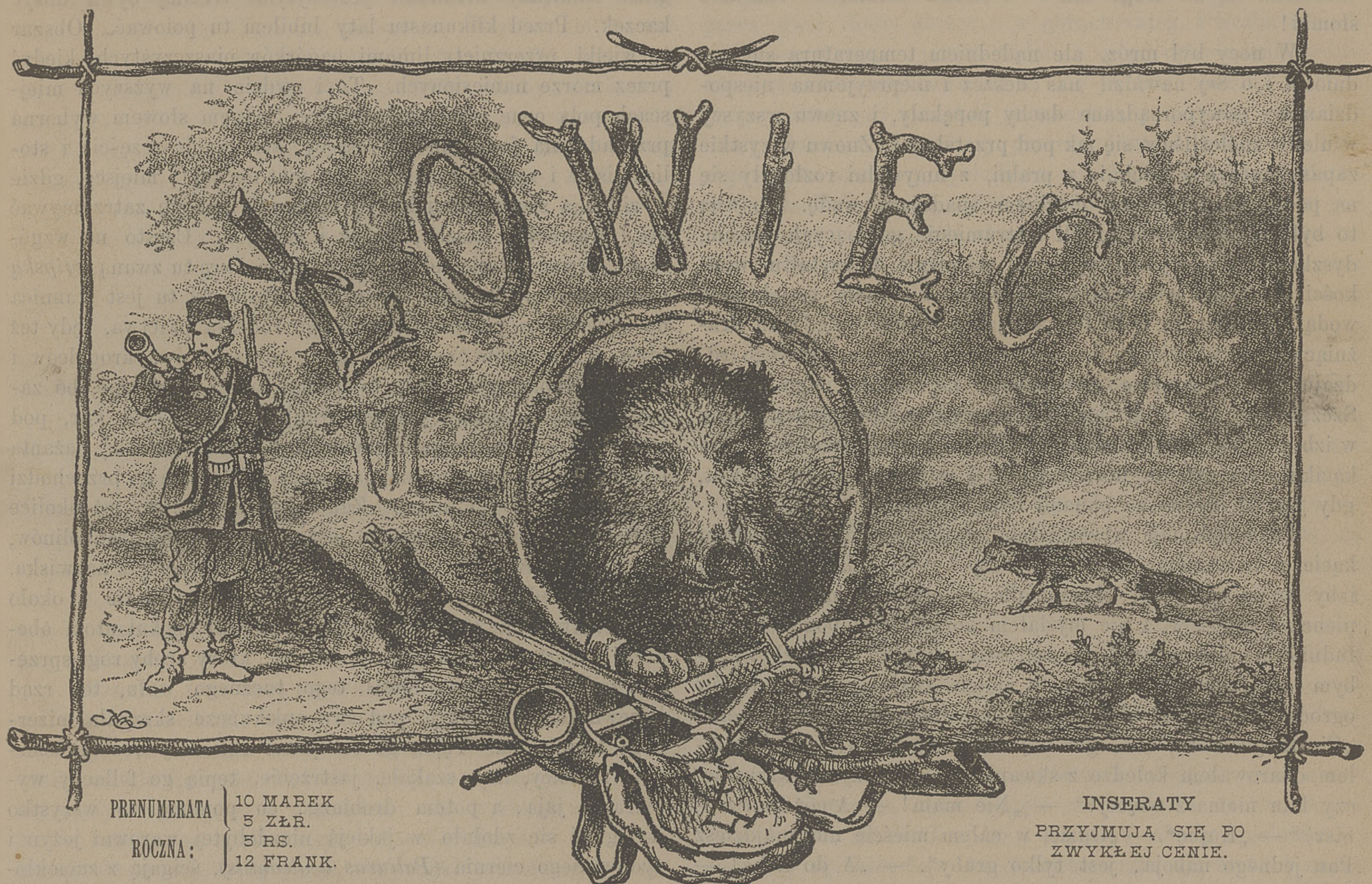
Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

POLOWANIE NA SŁOMKI

W SYRYI PÓŁNOCNEJ R. 1879 i 1880

PRZEZ

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Między 10 a 20 Stycznia pogoda była piękna, słońce świeciło, jak to często się tu zdarza, wiatr tylko ciepły szybko osuszał wody, i rolnicy zwyczajnie trwożliwi i nigdy nie zadowoleni poczęli się lękać, jak poprzednio mrozów, deszczów i zimna, tak teraz suszy. Nie długo się jej bali, bo nagle 23go wiatr (zawsze północny) nagromadził czarnych chmur, i przygnał deszcz z gradem całą noc padający, nadedniem oziębiło się znacznie, i podgórza, które się były już śniegu pozbyły, zabieliły się nim na nowo i to jeszcze niżej jak poprzednio. Chociaż na wodzie ledwie widać było rzadką siateczkę tworzącego się lodu, zimno jednak było przejmujące do żywego. Palba, która zaczęła się 29 Grudnia w ogrodach, i trwała co dnia od miesiąca prawie, nie zwracała już mojej uwagi bo w braku słomek były zawsze drożdziki i pokazały się szpaki również ogłupiałe i chore, także dające się chwytać ręką, — palba ta jednak ożywiła się znacznie — słomki wróciły! Znajdowałem je wszędzie dosiadające z rana, ku południowi w ruchu. Widzieć je było można w różnych kierunkach krzyżujące się z sobą, wyraźnie latały za pożywieniem, spłoszone szły daleko, i miały się już na baczności, nie pozwalając strzelcowi na strzał się zbliżyć. Z czasu poprzedniej pogody skorzystali byli rolnicy, i wiele było świeżo pooranej roli, na każdem pólku widziałem po kilka i kilkanaście słomek żerujących. Na jednej zupełnie gołej łące mającej kilka skib odwróconego czarnoziemu z brzegu, naliczyłem ich przeszło pięćdziesiąt. Te rozpędziłem sądząc, że jakaś ich część schroni się w gąszcze mirtowe i łatwiejsza będzie z niemi sprawa. Nie na wiele mi się to przydało, bo zapadały na innych rolach lub na miejscach nagich, zkąd po chwili znowu na łąkę powracały. Zaprzestałem tej próżnej gonitwy i poszukałem innych. Nie trudną to było rzeczą, słomki były wszędzie, ale rwały się daleko. Tym razem wziąłem przyrząd do mycia strzelby, wymyłem ją koło południa, ale polowanie skończyłem wcześnie raz, że się wybrałem dla zimna pieszo, a powtóre, że osądziłem, iż gdy pozbieram tu i owdzie pochowane ubite słomki, będzie ich dosyć do dźwigania tem bardziej, że mi się na nieszczęście nawinął zając, i grubo przysporzył ciężaru. Wypakowałem torbę, ogromne kieszenie kapoty, poobwieszałem troki, a resztę plonu związaną w pęki z zającem poniosłem na ramieniu na kiju. Zgarbiony pod ciężarem mojego połowu, jak niemiecki Wanderer brnąc po błocie, przywlokłem się wreszcie do domu w chwili, kiedy padł w sadach ostatni strzał z owego znanego wam tyralierskiego ognia, t. j. już prawie o ciemnej nocy. Jakże po takiej przechadzce jadłem smaczno, a jak spałem wybornie śniąc roje słomek, krzyżujące się nad moją głową! Czasem któraś nagle z trzepotem wyrwała mi się z pod poduszki, wtedy targnąłem się nagle w łóżku,

obróciłem się na drugi bok — i znowu słomki — wszędzie słomki!

W nocy był mróz, ale nadedniem temperatura się podniosła i o Sej nawidził nas deszcz i nieprzyjemna niespodzianka: powyporządzane dachy popękały, i znowu wszyscy w ulewę znaleźliśmy się jak pod przetakami. Znowu wszystkie zapasy naczyń z kuchni, z pralni, z umywalni rozłożyły się na podłogach, zbierając ciurkiem spadającą wodę. Dziwna to była muzyka tych kropli i strumieni, gadających basem, dyszkantem, fałszywym tenorem, stosownie do kształtu, wielkości i rodzaju materyałów naczyń oraz stopnia napełnienia wodą. A jakie to były tempa, jakie cieniowanie tych drażniących nerwy symfonii, co za kocie szariwari nowego rodzaju, gdy wszystkie instrumenta zagrzmiały nagle: *tutti!* Szczęśliwy, kto miał jedną izbę, co mówię, jeden kącik w izbie, gdzie mógł siedzieć z dziećmi i spać pokotem w tym kąciku. Na dworze deszcz padał i w izbach padał nawet, gdy już od dawna za oknami była pogoda.

Po zmęczeniu wczorajszem wypoczywałem w suchym kącie, a należałem do szczęśliwszych, bo miałem całe pół izby wolne od wody, chociaż nie od orkiestry miednic, wanienek i talerzów, i nie myślałem korzystać z pogody popołudniowej, przerywanej czasami kilkuminutowym niezbyt grubym deszczem, gdy jeden z moich znajomych Nemrodów ogrodowych wpadł do mnie i błagalnym zawołał głosem: „Cienkiego śrótu, choć garstkę cienkiego śrótu!“ To co miałem ofiarowałem koledze z skwapliwością. „Czy to wszystko, czy Pan niemasz więcej?“ — „Nie mam! — A cóż Pan zrobisz?“ — „Kupię“. — „Gdzie, w całem mieście nie znajdziesz Pan jednego naboja, jest tylko gruby“. — „A do licha! — wykrzyknąłem — to nieprzyjemna niespodzianka, ha! cóż robić, bierz Pan, co jest, ja z tą troszką i tak na słomki nie pójdę, a Pan z tym zapasikiem z tuzin kwiczołków, z tuzin kląskawek uśmiercisz z pewnością“. — „Szpaki, szpaki Panie przyszły! a te przeklęte słomki, co one mi prochu, co śrótu zjadły, bo też to i leci jak waryat“. — „To strzelać do siedzących“. — „Kiedy im siedzieć, nie dają, palą i palą, składasz się, już masz ściągnąć, a siedzi na dziesięć kroków — hrym! ktoś wygarnął kto wie do czego — i poszła! Spuszcza się druga, już, już ma siadać — bum! a ja paf w ziemię!“ — „To strzelać w lot! — „Strzelałem, strzelałem Panie, i teraz niemam śrótu, a tu szpaki aż się roją w ogrodzie! Mój brat zabił pięć jednym nabojem, dziękuję, z łaski Pańskiej pokażę mu, że to nie tak wielka sztuka“. I wybiegł mój myśliwiec, słyszałem po chwili, jak z radością do kogoś na ulicy zawołał: „Mam śrót!“ I ja pomyślałem, co tu robić bez śrótu? Widziałem był w jednym zaułku tureckim przed kilku dniami parę worków cienkiego śrótu, nie tracąc więc czasu prosto tam poszedłem — gdzie tam, zabrali! Szedłem od sklepu do sklepu pytając już nie o śrót, ale wiele go kupiec sprzedał, zsumowałem cyfry i dowiedziałem się, że rozkupiono 472 worków czyli 2360 kilogramów a nabojów 160.000, i że poczęto śrót kupować w pierwszy dzień wielkiego nalotu słomek. To jest więc minimum strzałów padłych w ogrodach niespełna w miesiąc, bo wielu strzelców zaopatruje się w amunicyę w Bejrucie. Pisząc to myślę sobie: ilu to i waszym niedzielnym miejskim strzelcom popłynie ślinki, jeśli nie do słomek, to do tych kwiczołów, do tych szpaków. 160.000 strzałów! czemuż ich tam nie było!

W parę dni ze śrótem grubym kaczym, dla odmiany pola i zwierzyny przeprawiłem się przez ujście Naher-el-Kibiru, kędy są błota w lecie suche, w zimie zalane wodą i gdzie pomiędzy krzakami przeszytymi trzciną bywa dosyć kaczek. Przed kilkunastu laty lubiłem tu polować. Obszar to wielki, przerznięty liniami pagórków piaszczystych, kiedyś przez morze naniesionych. Tu i owdzie na wyższych miejscach pola orne i zarośla mirtowe, jednem słowem wyborna przysada dla frankolinów i zajęcy, ale na nieszczęście i stolica lisów i szakalów, których tu nikt nie tępi; miejsce, gdzie w zimie a szczególniej ku jej końcowi lubi się zatrzymywać gęś, przeróżna kaczka, kszyk i bataljon. Często na wzgórzach urwać mi się udało dropia albo *kurę* tu zwaną *egipską* cz. Stepówkę *(Pterocles arenarius).* Wyborna tu jest stannica do obserwacyi przelotu wszelkiego rodzaju ptactwa, tędy też idzie droga orłów, sokołów, kań, myszołowów, krogulców i innych drapieżnych. Pole to dzisiaj mniej wdzięczne, bo zając rzadki a rzadszy jeszcze frankolin, ten król kur, pod względem smaku mięsa zostawiający daleko za sobą bażanta i jarząbka, do którego się najwięcej zbliża, ale go przechodzi soczystością swych piersi. Zgubna to zaleta! to też okolice Lattakii, sławne niedawno jeszcze ze swych frankolinów, wkrótce za dwa lub trzy lata znać je tylko będą z nazwiska. Turecki rząd, który pyszne sosnowe lasy, rozsiadłe w około Dżebel-Akry na 20.000 hektarów, pozwolił spekulantom obedrzeć z kory i bezpowrotnie zniszczyć, który ażeby rogi sprzedał za bezcen, zamordował tego tucznego wołu, ten rząd z pewnością nie skryje pod swe opiekuńcze skrzydła mizernego frankolina. Tępią go też przez rok cały bez miłosierdzia strzelcy, lisy, szakale, jastrzębie, tępią go fellachy wybierając jaja, a potem drobiazg, co pomimo to wszystko wylęgnąć się zdołało w jakiejś niezdobytej warowni jeżyn i żydowskiego ciernia *(Paliurus aculeantus),* ścigają z zaciekłością krogulcami. I ja przyczyniłem się po części do tego zniszczenia nie tyle strzelbą, ale tem, że mając sławnego pointera (o którego zaletach rozpisał się szeroko pan Bazelay w dziele swem o Rumelii) nie pilnowałem go dobrze. Nocami fellachy i inni krogulczarze i sokolnicy podprowadzali mojemu Blakowi suki, i utworzyło się mnóstwo pokurczów z wybornymi nosami, wytrwałych a wdzierających się w najgęstsze kolczyste zarośla. Fellach dawniej długim kijem uderzając w krzaki, wypędzał młode kuropatwy i frankoliny, i rzucał na nie krogulca, dzisiaj w każdej wsi pełno jest kundlów, mięszańców, co lepiej służą od kija. Prawdziwa to plaga na kuropatwy i frankoliny! niekarmiona, wychudła, gdy nie jest z panem na łowach, idzie polować na swoją rękę.

Przeszedłszy za rzekę, nie doszedłszy do bagien, spotkałem się z gęstemi słomkami, za któremi nie chodziłem, urywając tę i ową, która się na drodze nawinęła. Kaczek znalazłem dosyć, ale mniej niż się spodziewałem. Szczególnie ceranek było mniej jak każdego roku, i te rozsypane lub w małych stadkach, krzyżówek więcej a zwłaszcza kaczorów, ale wbrew swemu zwyczajowi nie w stadach, ale pojedyńczo, rzadko po dwie lub trzy sztuki. Krzyżówki trzymały się na brzegach, ale głęboko i to w najgęstszych krzakach, trzeba było środkiem zarośli brodzić w wodzie, na szczęście na twardym gruncie. Pomimo plusku i klapotania się wyżła, wyrywały się kaczory z przeraźliwym kwakiem krótko, czasem z pod nóg, inne często na pięćdziesiąt kroków siedzące pomimo strzałów nie ruszyły się z miejsca. Zdarzyło mi się ubić dwa kaczory dubletem. W miejscu, w którem padły, pies naszczekiwał na jednego, nie mogąc trzepiącego się w cierniu wydobyć, nabiłem więc strzelbę, i kiedy nakładałem kabzle, wyrwał się trzeci na 50 kroków z tyłu za mną. Zwracając się nagle, pośliznąłem się i upadłem, szczęściem

nie zamoczyłem amunicyi, ale ze strzelbą miałem dużo pracy, nim ją przyprowadziłem do porządku. Wspominam o tem zdarzeniu, bo w niem mam dowód, że nietylko kwiczoły, szpaki, czajki siwki i inne ptactwo były jakoby w ciągłem osłupieniu, ale też i kaczki były niem dotknięte, z pewnością dobrze wytrzymujące zimno, skoro zdarza się nawet u nas w Polsce spotykać je na oparzeliskach w zimie, a więc nie w zimnie szukać trzeba przyczyn tego osłupienia, lecz raczej w dziwnej otrętwiałości ptactwa.

Przeszedłszy wzdłuż bagno, znalazłem się na drugim jego końcu mając kaczek 16, a prawie drugie tyle zbarczywszy, te pozostały na pastwę szakalom i błotniakom. Każdy myśliwy w tych cierniach przeplecionych jeżyną i smilaxem cz. kolcowojem *(smilax aspera)* zostawia przeszło 50 na sto strąconej z powietrza zwierzyny, choćby miał najlepszego wyżła. Powracałem do rzeki wzgórzami i ubiłem zająca, z tuzin słomek, i kto wie czy nie ostatniego tu z rodu Siekierzyńskich koguta frankolina. W ogóle przyniosłem do łodzi 16 kaczek, 21 słomek, zająca i frankolina, a patrząc na ten niby świetny rezultat polowania, myślałem z żalem, że przed kilkunastu laty nie w takim jak ten wyjątkowym roku, nie brodząc po wodzie, powracałem nieraz tędy z sześćdziesiątką szlachtniejszej zwierzyny.

Wszędzie tego dnia spotykałem osowiałe siewki, czajki, mnóstwo drożdzików, często przypadających do ziemi, żeby się skryć raczej a nie lecić, na rolach oranych słomki, nie wielkiemi ale licznemi stadami szpaki, a nad niemi uwijające się mewy i spadające z wrzaskiem, aby wydrzeć im dżdżownika lub innego znalezionego robaczka. Kszyków widziałem mniej, niż zwykle o tej porze, skowronki w stadkach po sto, po dwieście i dosyć rzadkich tu gości kwiczoła i paszkota, i te oddane jakiemuś smutnemu rozpamiętywaniu, siedziały z nastroszonem pierzem na gałęziach mirtów, na których nie było jagód. Biedni spiewacy naszych lasów! może marzyliście o bogatych koralach polskiej jarzębiny, o modrych jagodach Karpackich jałowców, jako i ja często myślę o nich, jak wy osowiały w smutku!

Od kilku tygodni zauważyłem, że drapieżnego ptactwa jest mniej jak zwyczajnie, oglądałem się za niem co dzień, i dziś utwierdzony byłem więcej w mojem przekonaniu, i dziwiłem się nieobecności tych rozbójników właśnie w porę tak dla nich obfitego żniwa. Szczudłaków nie widziałem prawie wcale, mew, jaskółek morskich mało, ale zato bardzo wiele bąków. — „Wiele Pan bąków ustrzeliłeś? — zapytał mnie raz pułkownik Pollard — ja wczoraj trzy“. — „A więc je strzelasz pułkowniku?“ — „Dałem nawet wypchać jednego na pamiątkę. U nas w Anglii to rzadkość nadzwyczajna, to też gdy kto ustrzeli bąka, raportuje Sportowi, a zdarzenie to opisuje się w kronikach łowieckich. Doniosłem o mojej szczęśliwej szansie dziennikowi myśliwców w Londynie. Trzy bąki! iluż mi lordów ich pozazdrości! — „Czy lord Beaconsfield także strela bąki — zapytałem z uśmiechem, i dodałem poważnie: byłoby to dla Anglii bardzo niebezpieczne“. — „Czy dla tego, że bąk postrzelony rzuca się do oczów i oka nie chybia? w takim razie byłoby to jeszcze niebezpieczniej dla jednookiego Gambetty“. — „I nam w Polsce zdarza się strzelać bąki, ale — rzekłem śmiejąc się — kryjemy się z tem i nie chwalimy się nigdy, bo to rzecz nie miła“, — i wytłumaczyłem pułkownikowi, co znaczy po polsku *strzelać* i *zbijać bąki*. W spisie ubitej zwierzyny, którą zamieszczam na końcu mej pogadanki znajduje się rubryka: *Bąki*, a dla czego są wpisane, objaśnia ta moja rozmowa z pułkownikiem.

Drugiego i trzeciego Lutego padał tu na równinach przez dwie doby deszcz a w górach śnieg, i liczba słomek tak nadzwyczajna, jak to widać z mego opowiadania wcale nie przesadzonego, powiększyła się w taki sposób, że choć przywykliśmy już spotykać je wszędzie, to jednak wielce byliśmy zdumieni. Najobfitszy przeciąg i nalot przepiórek, którego często miałem przykłady, a mianowicie od połowy Marca do końca Kwietnia r. 1879, wydawał nam się niczem w porównaniu z tą powodzią słomek. Wieczorem 3 Lutego zastałem pułkownika Pollarda, syna jego i p. Kiriakidesa przy stoliku, zajętych robieniem nabojów do odtylcówek. Ogromny stół zapełniony był stosami przybitek, workami śrótu (skonfiskowałem parę), szarymi, zielonymi, niebieskimi kartuszami, a puk trzech stemplów rozlegał się po komnacie jak stukanie dzięciołów w pnie sosnowe. Przygotowano 800 ładunków, rozdzielono je w trzy koszyki. Umówiliśmy się polować nazajutrz razem na bagnach, gdzie dosyć było miejsca, żeby się rozejść i wzajemnie sobie nie przeszkadzać. O wschodzie słońca byliśmy na miejscu i jednocześnie rozpoczął się na dwóch polach tyrylierski ogień: w ogrodach grubym śrótem i na błotach. Trzy odtylcówki moich towarzyszów grzmiały nieustannie, szybko rzucając strzał za strzałem tak, że nieraz ogień w sadach przegadany bywał. Młody Pollard, który do cechu myśliwych wstąpił dopiero od kilku miesięcy i pierwszą słomkę ubił na Rok nowy, żwawo się zwijał na dwudziestoletnich nogach, palił na lewo, na prawo, chybiając wszystkie blisko porywające się słomki, ubijając czasem dalekie, a nieraz na zdumiewające mety. Znam strzelbę, która była w ręku młodzieńca, bo z nią parę miesięcy polowałem, obie lufy są *choke-bore*, na 50 metrów rzucają śrót jak nasze na 30 kroków, a więc nie strzelba to dla rozgorączkowanego młodzieńca. Stanąłem chwilkę na wzgórzu przypatrując się polowaniu. Pułkownik postępował równym krokiem, strącał kszyki i słomki paląc do wszystkiego choćby na sto kroków, spadająca zwierzyna nie zatrzymywała ani wpływała na przyspieszenie lub zwolnienie jego chodu, był jak machina strzelająca — zbierać co spadło, to rzecz dwóch chłopaków, noszących na ramionach drążki z trokami. Kiriakides biegający jak kulik po piasku, niedawno jeszcze strzelec równej mocy z młodym Pollardem, dzięki słomkom zaprawił się, nabył zimnej krwi, i często dowodził, że z pewnością stanie się niebezpiecznym współzawodnikiem najlepszych strzelców. Pollardowie poszli wzgórzami za słomkami, Kiriakides utonął mi w krzakach bagna, zkąd wkrótce, po dwóch jego strzałach ujrzałem ztąd i zowąd w górę szybujące kaczory, ja też za jego przykładem poszedłem szukać kaczek w zaroślach zalanych wodą. W pół godziny później na miejscach już opolowanych przez Pollardów, usłyszeliśmy na naszych tyłach gorącą palbę dubeltówek. Było to towarzystwo myśliwych, znajomych moich, o których już wspomniałem. O jedenastej zeszliśmy się na śniadanie, zliczyliśmy zwierzynę, było ubitej w trzech godzinach w cztery strzelby sztuk 153. Do słomek z Kiriakidesem nie strzelaliśmy, a znajdowaliśmy je nawet w wodzie na małych odosobnionych kępach *). W czasie śniadania widzieliśmy wysoko dwa przeciągające dropie. Drop w naszej okolicy jest bardzo rzadkim gościem, chociaż na wyżynach *(plateau)* obszernych między Idlibem i Alepem jest pospolitym i w zimie w znaczne zbiera się stada. W pier-

*) Są to kępy mirtem zwykle pokryte. P. Janowski przekonał mnie dyssekcyą, że słomka je jagodki mirtowe, obecność jej więc na tych kępach bynajmniej mnie nie dziwiła.

*

wszych dniach Stycznia pułkownik Pollard ubił tu na bagnach dwa dubletem, a p. Kiriakides jednego przeciągającego nad piaskami. Nikt z nas nie wiedział wówczas, że o kilometr dalej, razem z pierwszym nalotem słomek spadły były liczne dropie, na równinie zarosłej wysoką bylicą i koprem, i tam trzymały się blisko przez dni dziesięć. Były rozsypane, dawały się zchodzić na strzał śrótem i płoszone przez fellachów, którzy z nich kilka ubili, wracały w te kopry i bylice. Nie ma wątpliwości, że te dropie były z wyżyn Alepu śniegami wyparte i tu jakaś ich część się zatrzymała. Czy zimno wpłynęło głównie na ich ogłupienie, czy inna nieznana nam przyczyna, to jednak pewne, że i dropie uległy jakiemuś dziwnemu, powszechnemu u wszelkiego ptactwa zdemoralizowaniu. Jeden z moich znajomych strzelił kaczym śrótem do zrywającego się z liści lilijowych dropia, i długo się za nim nagoniwszy, żeby postrzelonego złapać, z boleścią ujrzał go znowu wzlatującego i na nieszczęście upadającego za rzeką, na pastwę szakalom. Drop nigdy a zwłaszcza w zimie nie daje się tak zchodzić, o czem dobrze wiem ze stepów Dobrudżi, gdzie na nie polowałem i ubiłem wiele, ale ze sztućca kulą, podkradając się pod nie za wozem wołowym.

Przy śniadaniu zwróciło naszą uwagę, że ogień w sadach począł słabnąć, z początku na jednem skrzydle, powoli na całej przestrzeni ucichał, aż w końcu jakiś tylko pojedyńczy strzał słyszeć się dawał. Co to się stało? O tem dowiedzieliśmy się wieczorem. Postrzelono parę dzieciaków i turczynkę zbierających gałęzie, i nareszcie gubernator kazał policyi i żandarmom Nemrodów wypędzić z sadów. I z tym zakazem było jak z wszystkiemi zakazami i rozporządzeniami tureckiemi. Wygnani myśliwi wylali się na pole, na krzaczki, ponad rowy, i po dwóch lub trzech dniach polowania, które widać im się nie podobało, poczęli wsuwać się do oliwnic, opanowali je znowu i palili w nich, dopóki słomki a szczególniej drożdziki i szpaki nie odleciały, a odleciały jak na komendę wszystkie od razu.

Nie będę opowiadał więcej epizodów naszego polowania, a jeśli i tak za długo zająłem nimi cierpliwość czytelnika, to poniekąd dla tego, że podobny nalot słomek nie często się zdarza i pytanie, czy w lat sto, dwieście się powtórzy. Powiem tu tylko jeszcze, że 7 Lutego proszony o zwierzynę do Bejrutu, jednego dnia podniosłem 63 słomek, a straciłem w żydowskim cierniu kilkanaście, że pułkownik tego dnia z dwoma zbieraczami i zapasem trzystu ładunków, które wystrzelał, ubił ich 137! Tego też dnia najgęściej spotykając słomek na nagich skalistych pagórkach zrywających się z rozpadlin, zdziwiony kupami skorup wielkich ślimaków, co przypisywałem szakalom i lisom, przekonałem się, że to słomki wykopują dziobami te gromadnie na zimę pod kamienie i skały, pod korzenie drzew zakopujące się miękczaki. Przekonałem się, mówię, bo je na tej robocie podchwyciłem, i chwilę przypatrywałem się, jak we trzy rozszerzały dziurę, wytaczały zdobycz i przebijały błonę, którą ślimak domek swój zamyka. Każdego roku znajdowałem je w podobnych miejscowościach często nawet liczniej, niż gdzieindziej, na pozór w właściwszem dla nich polu, co mnie zawsze dziwiło. Że droździk wykopuje te wielkie ślimaki, o tem wiem już od lat kilku.

W końcu mej pogadanki daję treść spostrzeżeń moich nad ciągiem słomek i innego ptactwa z r. 1879 i 1880.

O wielkim nalocie słomek w początku Listopada w lasy po obu stronach Bosforu wiedzieliśmy tu z telegramów, które miał dziennik łowiecki angielski. Nie wiele przypisywałem znaczenia temu nalotowi, bo on tam często o tej porze się zdarza. Następuje to zawsze po burzy, i wtedy to słomki bardzo liczne na wybrzeżu morskiem przez dwa najwięcej dni, później rozsypują się w lesie Belgradzkim o dwie mile od Konstantynopola, na zachodniej stronie kanału, i toną w wielkich lasach dębowych, bukowych i kasztanowych, opartych o wschodni brzeg jego, a ciągnących się ku Trebizondzie. Tu zwykle słomki zatrzymują się w znaczniejszej ilości przez całą zimę, jeśli ta jest łagodna, jeśli zaś śniegi obfite padają i marznie, posuwają się ku południowi, i idą etapami.

W Syryi północnej pierwsze słomki pojawiają się już w początku Listopada, ale w górach, i są rzadkie. Ku końcowi jego, zwykle po zimnym deszczu, gdy woda poczyna się ścinać w górach, zstępują jedne z nich, a inne przyciągają z północy. Pierwsze, jak to przez wiele lat zauważałem, trzymają się przeważnie wysoko obrzeżonych strumieni, zwykle obrośniętych mirtem i oleandrem, gęsto poprzeplatanych jeżyną, i bez dobrego psa, który je zwietrzy i nosem wypchnie z twierdzy, spotkać się z niemi trudno. W początkach Grudnia pojawia się ich już więcej i to w zaroślach mirtowych przy zdroiskach i oranych pólkach, od 15 Grudnia do 15 Stycznia jest ich najwięcej, i gdy ciąg jest dobry, co nie zawsze się zdarza, z legawcem pracującym i wprawnym, bo wedle czasu i z przyczyn mi nieznanych słomki siedzą twardo nawet po południu, lub wyciekając wynoszą się zdaleka, można ich ubić z tuzin nie chybiając wiele. Bywają jednak dnie, w których nalatują obficie, ale trzeba chodzić co dzień, żeby ich nie stracić, i wtedy można być pewnym, że się ich znajdzie w przecięciu na godzinę szukania pięć lub najwyżej sześć, z których z pewnością jedna-trzecia uchodzi bez strzału. Poluję w Lattakii od lat wielu, przeciętnie ubijałem rocznie około 150 słomek, daleko zostawiając za sobą wszystkich znanych mi tu strzelców. Tylko w r. 1864, który uważałem zawsze za wyjątkowy, znacznie moją średnią liczbę przeszedłem, a to dzięki mrozom, które dwanaście dni trwały bez przerwy i spędziły naturalnie słomki z gór i podgórzy ścieśniając je w pewnych miejscowościach. Kilka razy zabiłem ich przeszło 20, raz tylko od wschodu do zachodu słońca, polując bez wypoczynku, a więc przez 9½ godzin, doszedłem do 32. Często udało mi się to zrobić w lasach za Bosforem, a to po pierwszych mocniejszych przymrozkach ku końcowi Grudnia, gdy opadł liść z drzew i ułatwił strzelanie.

Tego roku słomki pojawiły się wcześniej. Pierwsze spotkałem już w połowie Listopada na rolach oranych po równinach, widziałem ich pięć czy sześć, do żadnej strzelić nie mogłem, było to już pod wieczór. Nazajutrz szukałem ich wszędzie, nawet na podgórzach, rozpytywałem się pastuchów kóz, nikt ich nie widział dotąd. Przypuszczam, że te pierwsze słomki zawitały do nas od morza, zatrzymały się blisko niego przez dzień, i z zapadłą nocą odeszły dalej. Ku końcowi Listopada spotkałem jedyne trzy, które ubiłem. Każdego dnia wychodził ktoś z nas na zwiady za słomkami, ale nie było ich wcale, dopiero 3 Grudnia był dzień bogatego przeciągu a więc zawczesnego na tutaj, z którego zdaje mi się ja tylko jeden skorzystałem, ubijając w parę godzin czternaście. Były tylko w wąskim pasie nadmorskim, gdzie zaszedłem po kilku godzinach szukania na niskich podgórzach i równinach zarosłych i przyszły przez morze. Nazajutrz było ich mało, odleciały lub rozstrzeliły się po szerokich obszarach i z tym wyjątkiem, że przeciąg 3 Grudnia był o kil-

kanaście dni zawczesny, wszystko szło zwykłym trybem do owego pamiętnego, niesłychanego nalotu słomek dnia 29 Grudnia. Ilość taka nie mogła z samych gór zstąpić, była to *inwazya* słomek z Azyi, z Tessalii, z Epiru, z Grecyi, z Włoch zasypanych nagle wielkimi śniegami. Słomki te zmęczone, lekkie, wzięły w posiadanie całe niskie wybrzeże północnej Syryi i po części Karamanii, jak okolice Mersyny i Adany, i szybko po czterech, pięciu dniach, przychodziły do swojej normalnej zimowej wagi. Jak mówiłem słomki te odeszły w czasie ciepłych deszczów, i przez dziesięć dni było ich stosunkowo mało. 20 Stycznia druga inwazya, liczniejsza od pierwszej a wzmocniona nalotem 5 Lutego. Słomki te pochodziły po części z Karamanii, a głównie z południa, wiem, że przedtem zjawiły się w Jaffie i znikły. Opanowany pas kraju przez słomki, zalany niemi, ciągnie się nad brzegiem morza od podgórz Dżebel-Akry na północy, aż do Tripoli na południe, i ma 150 kilometrów długości i około 10 kilom. szerokości w przecięciu, czyli 1500 kilometrów kwadratowych, a 30,6 mil kwadratowych niemieckich. Okolice Bejrutu już nie miały powodzi słomek, najlepszy tam strzelec, jakiś Francuz, ubił ich jednego dnia 23, rzadko kto dochodził do 10, a i to nie trwało długo.

Zlokalizowanie podobne słomek, kto wie z ilu krajów, w tak stosunkowo małej przestrzeni, jest niesłychanie rzadkim wypadkiem, by się powtórzył, trzeba, żeby ptak od razu na stu tysiącach mil kwadratowych nie znalazł potrzebnych warunków do życia. Z całej Syryi północna jej część ma najwięcej niskich płaszczyzn, niepokrywających się nigdy śniegiem, a głównie ma znaczne przestrzenie zarośli ze strumykami i pól uprawnych. Od Tripoli do Bejrutu i za niego, góry spadami wysokimi dopierają do samego morza prawie, za Bejrutem zarośla znikają i coraz więcej pustek bez uprawy, nie dziw więc, że zganiało słomki do nas z północy zimno, a głód z południa.

Pomimo pozornej klęski, jaką tu poniosły słomki, jestem tego zdania, że tego roku zginęło ich daleko mniej niż zwykle. Z 1500 kilometrów kwadratowych, na ktrych się rozsiadły, przypada zaledwie pięć na oliwnice Lattakii, gdzie przez 40 dni wrzała palba, gdzie mimo, iż na dzień najmniej sto rusznic grało, słomek zginęło mało, i mniej, niżeli dwaj Pollardowie, Kiriakides i ja ubiliśmy. Zresztą nikt na całym owym obszarze 30 mil kwadratowych nie polował na nie, miały więc spokój zupełny. Zastanówmy się teraz, ileby ich zginęło w Grecyi, we Włoszech, w Austryi, na brzegach adryatyckich, gdzie tylu jest dobrych strzelców, w okolicach Konstantynopola, Smyrny, gdzie setki Greków utrzymują się z polowania, ileby zginęło słomek, gdyby twarda zima nie była wygnała ich z miejsc tych wszystkich, i to wcześnie? Zrobiłem był poprzednio uwagę, że mniej tu było tej zimy drapieżnego ptactwa, śmiertelności pomiędzy słomkami nie było wcale. Syrya więc północna, z wyjątkiem oliwnic Lattakijskich i kilku jak my rozbójników, dawszy przytułek i hojnie ugościwszy wędrownice, widziała ich parę milionów zdrowo powracających na północ. Oby je opatrzność szczęśliwie zawiodła w wasze lasy, w wasze góry i dalej!

Czajki i droździki przyjdą do was przedziesiątkowane, bo te wycierpiały prawdziwą nędzę, przeszły przez straszny pomór i rozbój wszelkiego drapieżnego ptactwa, porywającego je bez wszelkiego pościgu. U zchwytanych ręką chorych droździków uważałem pod skrzydłami gruczoły wielkości sporego grochu, prawdopodobnie pochodzące ze zmęczenia, z długiego, może utrudzonego lotu wiatrami. Skóra tego biedactwa i wychudłe mięso były żółtego koloru.

Rok 1879 w Syryi nie był dotykalnie wyjątkowym, a w czem jego wyjątkowość leży, wspomnieliśmy wyżej. Dopiero w ostatnich swoich chwilach konając usłał sobie olbrzymi, biały, sybirski całun, w którym się zagrzebał. Następca jego 1880 zostanie z pewnością utkwiony w pamięci dzisiejszych dorostków, którzy o nim wnukom i prawnukom rozpowiadać będą. Na przekor słońcu, co stopiwszy śniegi u podnóża gór, zabierało się do białej korony ich szczytów, nowo narodzony rok jakby skazując jego jasne ciepłe promienie na Sizyfowe prace, nagle na miejsce znikłych narzucał świeże, grubsze jeszcze zaspy, i śmiertelną bielą zchodził jeszcze niżej. 18 Marca śnieg padał w Bejrucie, rzecz niesłychana! 26 zabielił po raz ostatni wszystkie góry aż do stóp ich tak, że jeszcze i dziś (10 Kwietnia) na grzbietach Ansaryjskich widać tu i owdzie biały strzęp zimy, a cały Liban, wprawdzie o wiele wyższy od nich, rażąco odbija śnieżny od modrych toni morza i zieleni otaczających go równin. Wszystko o cały miesiąc spóźnione, trawy, kwiaty, wiosenne jarzyny. *Karia Myxa*, grube drzewo, zdaje mi się z Indyi tu zaprowadzone, z którego jagód wielkości tureckiego orzecha, bardzo podobnych do jagód jemioły, wyrabia się sławny lep na ptaki, zmarzło, i prawdopodobnie nie odżyje. Rzecz dziwna! choć młodsze, wytrzymało to drzewo w roku 1864 mrozy silniejsze i dłużej trwające.

Około 20 Marca przeleciała nad nami pierwsza znaczna płachta bocianów, niektóre zatrzymały się u nas. Czyby miały zrozumieć, że to zawcześnie! Przeciągnęły później i inne, drugi nie wielki zastęp, ale głównego przelotu jeszcze nie było.

Rok temu mieliśmy ciąg przepiórek długi i bogaty, szły od 15 Marca do pierwszych dni Maja, dotąd (10 Kwietnia) ich nie ma, i pytanie, czy tej wiosny pójdą wielkie korpusy naszemi stronami. Przed dwoma tygodniami gęsto obsiadły Jaffę, — poszły nie zawitawszy do nas. Wiadomość o gromadnie spadłych przepiórkach w południowych Włoszech, którą wyczytałem w „Łowcu“, wprowadza mnie na przypuszczenie, że tamtędy pójdzie tegoroczna ich droga główna Podobna zmiana drogi zdarza się czasami, np. w roku 1870 przepiórki szły wzdłuż Eufratu, a szczególniej Tygru, czego byłem naocznym świadkiem, a na drodze zwykłej brzegami Śródziemnego i Marmory były rzadkim gościem.

Gęsi dzikie i żórawie przeszły, ale w bardzo szczupłej liczbie. Pierwsze kukułki (nie zostają tu chyba w górach i to bardzo rzadko) pokazały się 10 Kwietnia, i jednocześnie z niemi turkawki i syreny albo żołny. Rodak mój i przyjaciel p. Artur Janowski oddawna zajmuje się spostrzeżeniami nad przelotem ptactwa w Syryi, i jestem przekonany, że jego praca wiele nam odkryje ciekawych rzeczy, co do mnie jako na nieszczęście nie posiadający potrzebnych wiadomości, ograniczyłem się do lataczów więcej myśliwca obchodzących.

Na początku Grudnia zchwytano tu na lep dwa gile samce i jedną samicę, jeden z nich żyje dotąd w klatce. Nikt z mieszkańców Lattakii ani żaden Fellah nigdy tych ptaszków nie widział. Zkąd one przyszły? co aż tu zagnało te żywe korale, które w trzaskające tylko mrozy zchodzą do sadów naszych i zdobią szkarłatem ośnieżone drzew gałęzie? Co aż tu zagnało te ptaszęta, które zwykle na zimę Dunaju nie przekraczają?

Pozwalam sobie dorzucić uwagę, że PP. Polardowie z P. Kiriakidesem robili wycieczki kilkodniowe, w których im to-

warzyszyć nie mogłem, i dla tego tego roku nie strzeliłem nawet do kuropatwy, i że w ogóle w mniejszej liczbie dni musiałem dobrem strzelaniem w walce z odtylcówkami zbliżać się do jakiejś równowagi z P. Pollardem, ta uwaga tyczy się szczególnie słomek — 713 przeciw 829. Przepiórek zwykle nie strzelam, na bagnach byłem tylko dwa razy, i zdaje mi się, że w trzech lub czterech razach więcej byłbym z łatwością doszedł do 200, liczby do której często tu w Lattakii dochodziłem.

	Antylopy	Zające	Dropie	Gęsi	Kaczki	Frankoliny	Kurop. skalne	Pteroklesy	Przepiórki	Gołębie	Słomki	Kszyki	Bataljony	Derkacze	Siewki	Flamingi	Bąki	Razem
Pułk. Pollard	.	39	2	2	108	47	31	.	81	4	829	147	6	3	13	4	3	1310
Pollard syn .	.	11	.	.	128	10	5	.	21	2	364	32	.	2	31	.	.	606
Kiriakides .	.	13	1	.	150	28	17	1	54	1	325	19	1		11	.	1	626
Brzozowski .	2	15	.	.	75	9	.	.	20	.	713	5	7		9	.	.	855
Razem .	2	78	3	2	461	94	53	1	176	7	2231	203	13	9	64	4	4	3406
Janowski											217							
Geofrey											202							
Ch., E., A. razem											209							
Liczba pewnych ubitych słomek											2858							
Strzelcy oliwnic razem . . .											2500							
Razem około . . .											5358							

Lattaquié 10 Kwietnia 1880 r.

POLOWANIE w BEREZYNIE

PRZEZ

Ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego.

Lubo nie mała przestrzeń dzieli Galicyę od puszcz i borów litewskich, to jednak sądzę, że każdy opis polowania z obrębu ziem dawnej Polski zdoła żywo zainteresować czytelników „Łowca“, dla tego przesyłam tych słów kilka Redakcyi z prośbą o ich zamieszczenie w swem Piśmie.

Dnia 1 Marca b. r. wybraliśmy się na niedźwiedzie do Berezyny, majątku hr. Augusta Potockiego, położonego w gubernii Mińskiej na pograniczu Mohilewskiej, nad brzegiem rzeki tak pamiętnej w dziejach świata. Właściciel wyjechał z p. Bronisławem Rzewuskim, ja zaś wybrałem się nazajutrz po nich z hr. Maksem Mielżyńskim. O kilka stacyi za Brześciem zaczął się już pokazywać na polach serdecznie przez nas witany śnieg, lecz w Mińsku, dokąd o 6 rano przybyliśmy, spotkała nas niemiła niespodzianka, pokazało się, że pociągi Moskiewsko-Brzeskiej i Libawo-Romeńskiej żelaznej drogi nie korespondują z sobą, trzeba więc było czekać do 11stej wieczorem dla przejechania trzech stacyi, oddzielających nas od miejsca, gdzieśmy kolej opuścić mieli. Cały ten dzień przepędziliśmy w prawdziwej rozpaczy. Słońce grzało jakby w Maju, termometr wskazywał kilka stopni ciepła, a od czasu do czasu deszcz ulewny roztapiał do reszty i tak już bardzo nadwerężony ciepłem słonecznem śnieg. Każdy z myśliwych łatwo zrozumie, jakiem byliśmy przejęci uczuciem, gdyśmy widzieli, wyjechawszy prawie o sto mil na niedźwiedzie, w oczach naszych niknący śnieg, ową jedyną podstawą pomyślnego polowania. Do 11 w nocy wcale się temperatura nie zmieniła, i ruszyliśmy w nocy dalej pocieszając się słowami: jakoś to będzie. Ze stacyi Marynohorki, dokąd przybyliśmy o pół do drugiej po północy, było jeszcze przeszło 80 wiorst do Berezyny. Tę drogę należało już przebyć końmi. Posłaliśmy po sanki i po konie pocztowe, i po godzinie ruszyliśmy saniami, w których cudem chyba dwie osób umieścić się mogło. W samo południe byliśmy już na miejscu, gdzie gościnne przyjęcie, dobre śniadanie i ogólny wesoły nastrój humorów, pełnych najświetniejszej nadziei, kazał nam wkrótce zapomnieć o nużącej podróży i o smutnych przeczuciach spowodowanych ciągłą odwilżą.

Na Litwie poluje się na niedźwiedzie tak jak w Rossyi. Zaraz po pierwszym śniegu leśnicy poczynają je tropić tak długo, dokąd się nie ułożą w zimowych gawrach. W taki sposób znane są dokładnie tak ilość leżących niedźwiedzi jakoteż miejsca, w których leżą. W Berezynie mieliśmy takich osaczonych niedźwiedzi czternaście, lecz razem z nieotropionymi było ich daleko więcej. Majątek Berezyński zajmuje przeszło 220.000 morgów przestrzeni, a wszystkie wiadome niedźwiedzie leżały na krajach puszczy około wsi, których jest kilkanaście na tym obszarze rozrzuconych. Sam środek stanowi tak zwaną Usakińską puszczę, gdzie o obejściu niedźwiedzia ani myśleć można. Dostać się do niej w krótkich dniach zimowych niepodobna z powodu jej odległości od najbliższych wiosek lub chat gajowych. Gdy który niedźwiedź wyruszy na zimę z puszczy, lub jeżeli jakiego, tropiąc przed łowami, poruszą, to taki już jest naprzód osądzony, i pewnie go kula nie minie, ale nie wychylającym się z puszczy nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i mogą nie jedną zimę spokojnie w swych gawrach odpoczywać.

Polowałem w kilku miejscowościach Litwy na niedźwiedzie, nie znalazłem jednak nigdzie tak wzorowo urządzonego polowania, jak w Berezynie. Wyborna straż leśna, niesłychanie karna i znająca najmniejszy w lesie przesmyk, ze trzydzieści par zajadłych psów, zaprawionych na niedźwiedzie tak, że nigdy żadnej innej zwierzyny nie gonią, gdy się na niedźwiedzie poluje, — wszystko to jest przyczyną, że w Berezynie polowanie, przy tak bogatym zwierzostanie, nazwać można prawdziwie królewskiem. Wielce przyczynia się do pomyślnego rezultatu polowań ochoczość ludu miejscowego w tworzeniu obławy. Prawda, że niedźwiedzie wiele mu robią szkody, szczególnie w lecie i jesieni. To też cieszą się łowami, i według możności pomagają w tępieniu tych szkodników. A nie małej to liczby trzeba na taką obławę. Dowodem niech będzie, że w tym błogosławionym kraju nic się obławie nie płaci, daje im tylko właściciel przekąskę, złożoną z kieliszka wódki i jednego śledzia na osobę, gdyż poluje się zwykle w Wielkim poście, a jednak tak skromne uraczenie kosztuje dziennie 50 do 70 rubli stosownie do obszaru zajmowanej kniei. Ztąd można wnosić, jak wielkiej liczby ludzi do takiego polowania potrzeba.

Zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe wybraliśmy się na pierwszego niedźwiedzia, najbliżej Berezyny znajdującego się. Wyjechaliśmy po dwunastej, i wkrótce przybywszy na miejsce i stanąwszy na stanowiskach, posłyszeliśmy rozkoszny dla ucha myśliwych, zajadły gon psów. Kilka razy mignął się nam niedźwiedź przed oczami pomiędzy drzewami, ale zawsze bardzo daleko. Wytykał parę razy na obławę, cośmy łatwo poznać mogli po krzykach i strzałach prochem na linii obławników, lecz do nas pomimo usiłowań dojeżdżaczy i psów stanowczo przyjść nie chciał. Kręcił się ciągle po swoim tropie, i moglibyśmy byli do nocy na niego czekać, gdyby hr. Potocki nie zaproponował nam iść ze swego stanowiska, każdy przed siebie w las, póki nie dojdziemy do tropu. Gdy po zwalczeniu największych trudności, po głębokim śniegu, i za-

wałach dostałem się pełen nadziei na trop, usłyszałem strzał, a po chwili odgłos trąbki uwiadamiający, że niedźwiedź już ubity. Hr. Mielżyński, idąc do tropu, natrafił na siedzącego, otoczonego psami, i trafiwszy pod ucho jednym strzałem go powalił. Nazajutrz mieliśmy o wiele dalszą drogę, trzeba było przeszło 30 wiorst jechać do miejscowości, gdzie osaczony niedźwiedź leżał. Tym razem nie dał poczciwy Marucha długo an siebie czekać. Ledwie stanęliśmy na wskazanem miejscu, i psy się odezwały, ujrzałem go idącego trochę ukośnie, lecz prawie prosto na mnie. Serce mi uderzyło silniej. Przypuściwszy go na 20 może kroków strzeliłem. Niedźwiedź powalił się, lecz w tejże prawie chwili powstał i ruszył prosto na liniję strzelców o dziesięć kroków odemnie. W Berezynie jest zwyczaj zaczepiania na drzewach po nad całą liniją strzelców sieci z kręconych włókien kory lipowej z bardzo szerokimi otworami tak, że niedźwiedź łeb i łapy z łatwością przez nie przesuwa, lecz gdy dalej przejść nie może, tak się zwykle w nich plącze, że można doń kilka a nawet kilkanaście razy strzelić. Tak się też i teraz stało. Ja polując po raz pierwszy z sieciami, czekałem z drugim strzałem, co z tego będzie. Po chwili ujrzałem niedźwiedzia nie mogącego dać sobie radę, to się zchylał aby przejść pod sieciami, to stawał na tylnych łapach, chcąc je przedniemi rozerwać, mruczał, ryczał przeraźliwie, aż w końcu widząc, iż wszyscy myśliwi na ten hałas nadbiegają, i obawiając się, aby go kto inny nie dobił, strzeliłem pękającą kulą, a trafiwszy w samą komorę, zakończyłem jego gniew i męczarnie. Tak się w sieci zaplątał, że gdy dojeżdżacze i obławnicy się zeszli, potrzeba było przeszło pięć minut czasu do rozplątania go z więzów. Muszę tu nadmienić, że używam polując na niedźwiedzie sztucera dwunastego kalibru roboty Devisme'a. Jest on trochę ciężki w porównaniu z teraźniejszymi tak zwanymi *double-expressami*, lecz niezmiernie celny i dalekonośny. Zrobił mi go do pistonów przed 20 laty Devisme do polowania na lwy, do czego jednak nigdy nie przyszło. Pięć lat temu będąc w Paryżu, kazałem go w tejże samej fabryce broni przerobić na odtylcówkę, i przekonałem się, jak błędne jest mniemanie, iż takie przerabianie psuje broń. Mój sztucer wcale potem nie okazał się gorszym co do doniosłości i celności strzału. Polując na tak grubego jak niedźwiedź zwierza, nabijam prawą lufę zwykłą stożkową kulą z stalową główką, a lewą lufę kulą pękającą *(balle explosive)*. Ostatnia przeznaczona jest tylko na wypadek obrony osobistej, gdy się strzela przyłożywszy prawie lufy do zwierza, w zwykłych bowiem warunkach kule te są zupełnie niepraktyczne, pękają od potrącenia najmniejszej gałązki, a niedźwiedź idzie najczęściej choć blisko, ale takimi gąszczami, że taka kula dosięgnąć go nie może. O tem przekonałem się w kilka dni później, gdy trafiwszy pierwszym strzałem niedźwiedzia, chciałem go drugim dobić. Kula pękła mu przed samym nosem, wybiła odłamkami parę zębów, pokaleczyła pysk, lecz nie tylko go nie dobiła, ale owszem zraniwszy dotkliwie, dodała mu siły do podniesienia się i przejścia o kilka kroków w stronę mego sąsiada hr. Augusta Potockiego, który ostatecznie go jednym strzałem trupem położył. Każdy myśliwy łatwo pojmie, jaka to była dla mnie nieprzyjemność, bo dobry myśliwy wielce dba o to, aby sam, bez czyjejkolwiek pomocy, zwierza powalił. Nie zawsze jednak siecie zatrzymują niedźwiedzia. Pod koniec naszego polowania w Berezynie jeden z nich tak silnie w siecie uderzył, że nie opatrzyliśmy się nawet, jak już po drugiej ich stronie się znalazł, i byłby nam uszedł, gdyby nie dość szeroka droga za liniją strzelców, przez którą musiał przechodzić. Skorzystał z niej hr. Potocki, i podbiegłszy kilka kroków mógł jeszcze strzelić na niej, i trupem go położyć. Czy sieci były źle zaczepione, czy też niedźwiedź je swoim ciężarem wywrócił, dość że w jednej sekundzie przesadził je, i jak mówię, mało nie uszedł, bo hr. Potocki wstrzymywał się ze strzałem, aby go zaplątanego w sieciach dobić. Później nie zakładaliśmy ich nawet, albowiem z powodu spóźnionej pory były niedźwiedzie tak czujne, że często przy zakładaniu sieci nie bez pewnego hałasu ruszały. W tych warunkach spudłowałem do jednego najhaniebniej, wprawdzie nie zupełnie z własnej winy, lecz zawsze z wielkim dla mnie wstydem. Po dość długiem oczekiwaniu widzę niedźwiedzia otoczonego psami dążącego wprost ku mnie. Chciałem go bardzo blisko przypuścić, gdyż szedł na sztych, aby go jednym strzałem powalić. Był to niedźwiedź mniejszego gatunku, z tak zwanych *Murawiejników*, szedł wolno oglądając się w prawo i w lewo jakby wypatrując, zkąd mu niebezpieczeństwo zagraża, mrucząc ciągle i wystawiając zęby, jak pies, kiedy zły. W chwili, gdym miał już doń strzelić, sąsiad mój Bronisław Rzewuski dziwiąc się, że nie strzelam, i myśląc, że go nie widzę, jak gdyby możliwem było niedźwiedzia prześlepić, strzela ze swego stanowiska, oddalonego odemnie o jakich 60 kroków. Chybił, bośmy później znaleźli jego kulę w dość grubej gałęzi, od której odbiła się ukośnie, ale tak przeraził niedźwiedzia, że jak zając zwinąwszy się na miejscu umknął w gęstwinę. Strzeliłem i ja za nim, ale nie z lepszym skutkiem, i dopiero w pół godziny zginął od rotowego ognia wszystkich myśliwych, którzy za nim w miot poszli. Pokaleczył jednak mnóstwo psów, a kilka na śmierć rozszarpał, a jednego nawet w naszych oczach, gdy już prawie martwy leżał. Na obronę p. Rzewuskiego muszę dodać, iż miał osobliwsze nieszczęście. Wszyscyśmy strzelali i bili niedźwiedzie, on jeden tylko żadnego nie miał na strzał. Ten, o którym mówię, był pierwszym po dziesięciu dniach polowania, którego na 60 może kroków spostrzegł.

Boję się znudzić czytelników „Łowca" powtarzając ciągle niemal to samo. Polowaliśmy dzień w dzień przez trzy tygodnie prawie, i zawsze z zabitym niedźwiedziem wracaliśmy do domu. Dwa razy tylko obsaczony zwierz chytrzejszym niż zwykle się okazał, nie zważając bowiem na krzyki i strzały obławników poszedł prosto na nich i przerwawszy linię, najspokojniej uszedł cały. Raz jeden nawet taki wypadek stał się powodem, że polowanie było bardziej niż zwykle zajmującem. Poruszona niedźwiedzica przeszła liniję obławników tuż obok poczynającej się już linii strzelców, ponad samą rzeką, i chcąc dostać się do puszczy, musiała wracać ponad strzelcami, bo rzeka zaginała się łukiem i nie dozwalała jej obrać innego kierunku. Ponieważ psy przytrzymywały ją ciągle, szła dość wolno. Hr Aleks. Berg, który przyjechał z Warszawy w tydzień po nas, tak się był zagonił, iż po drodze pomimo dziesięciostopniowego mrozu całe odzienie z siebie zrzucił, i w koszuli i bieliznie tylko do nas wrócił. Szczęściem, że za nim biegł jeden z miejscowej leśnej straży, i ten jedno po drugiem rzucane ubranie zbierał i do ogniska przyniósł. Hr. Augustowi Potockiemu, który spotkał na drodze sanki włościańskie, udało się ją przebiedz i zawrócić nazad. Zawrócona poczęła zwyczajem wszystkich niedźwiedzi iść własnym tropem nazad, a Józef Czapman, zarządzający stadami hr. Potockich słysząc zbliżający się nazad gon psów, pobiegł na miejsce, w którem liniją przerwała, i po chwili ujrzał ją zbliżającą się, a przypuściwszy na kilka kroków, powalił ją trafnym strzałem na miejscu.

Polowaliśmy tak prawie przez trzy tygodnie, przenosząc się z całym taborem z miejsca na miejsce, gdyż wkrótce osa-

dzone niedźwiedzie znalazły się tak daleko od Berezyny, iż za nadto byłoby męczącem jechać jednego dnia i wracać. Mieszkaliśmy więc rozmaicie, to po folwarkach, to po domkach leśników, po lesie rozrzuconych, ale dzięki gościnności i pamięci o wszystkich możliwych wygodach swych gości hr. Augusta Potockiego, wszędzie było nam prawdziwie dobrze i wygodnie. W ciągu tego prawie trzytygodniowego polowania padło niedźwiedzi dziewięć i ośm łosiów. W liczbie pierwszych byli przedstawiciele wszystkich gatunków litewskich niedźwiedzi. Były i tak zwane białoszyje, z których jeden zabity przez samego hr. Potockiego rzeczywiście imponujących rozmiarów, również były czarnorude, środek co do wielkości zajmujące i nakoniec zwane po miejscowemu Murawiejniki (Mrówniki) najmniejsze, żółtorudego jasnego koloru, i jak twierdzą najzłośliwsze. Jednego z nich zabił hr. Mielżyński. Myśleliśmy z początku, że to jest młody roczny niedźwiadek, tak zwany piastun, dopiero po zabiciu leśnicy miejscowi zdecydowali, że miał przeszło pięć lat. Tak był mały, że nie przewyższał rosłego wilka. W całych ogromnych Berezyńskich obszarach nic więcej się nie spotyka oprócz niedźwiedzi i łosi. Przejeżdżając przez trzy tygodnie prawie codziennie puszczę w rozmaitych kierunkach, natrafiliśmy tylko na tropy wilcze i rysie, a czasem ledwie odznaczający się na śniegu skromny bielak przebiegał nam drogę. Łosi za to niesłychane jest mnóstwo. Polowaliśmy na nie przez ostatnie dwa dni naszego pobytu w Berezynie. Padło ich ośm, i szczęściem w ich liczbie nie zginęła ani jedna samica, co tylko przypadkowi zawdzięczać trzeba, gdyż w tej porze, gdy łosie są bez rogów, nikt samca od samicy odróżnić nie potrafi. Dla tego ja przyjąłem u siebie zasadę nigdy nie polować na łosie później jak przed samemi świętami Bożego Narodzenia. Wtedy są one jeszcze z rogami, a jak na Litwie, gdzie zima jest wcześniejsza i silniejsza, wszystkie błota są już zwykle zmarznięte i śniegiem pokryte. Radziłem hr. Potockiemu to samo u siebie zaprowadzić, i w zupełności zgodził się z mojem zdaniem. Ostatni dzień polowania zostawił mi nieprzyjemne wrażenie, gdyż z własnej winy straciłem sposobność zabicia ogromnego łosia. Gdyśmy już stanęli na stanowiskach, psy zaczęły gonić bardzo niskopiennym i gęsto zarośniętym jelniakiem (tak na Litwie nazywają miejsce pokryte młodemi jodłami i świerkami), wyobraziliśmy sobie z hr. Potockim, iż to zapewne musi być niedźwiedź, gdyż łosie wybierają zwykle w ucieczce bardziej otwartą drogę. Porzuciliśmy więc swe miejsca i podążyli co tchu do jelniaku. Ledwieśmy tam doszli, przebiegł łoś przez drogę obok hr. Berga, który go w tejże chwili powalił, a przestraszone strzałem wyskoczyły z jelniaku dwa inne, i przebiegły obok ledwie przez nas opuszczonych miejsc. Ja byłem w rozpaczy, hr. Potocki zaś lepiej się odemnie znalazł, gdyż nie zważając na odległość strzelił i zabił jednego z nich na 210 kroków jednym, ale przyznać trzeba, mistrzowskim strzałem. Co do tej odległości, mogę za nią ręczyć, bo własnymi ją odmierzyłem krokami. Był to niestety ostatni strzał, gdyż nazajutrz rozjechaliśmy się z jak najprzyjemniejszem wrażeniem dzięki doskonałemu polowaniu i gościnnej uprzejmości gospodarza.

Milanów na Podlasiu 16 Maja 1880 r.

POLOWANIA LETNIE I JESIENNE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

(Ciąg dalszy).

VI. Słonki i przepiórki.

Chociaż to skromna sobie ptaszyna
Ta biedna słonka, stworzonko czyste,
Pierwsza to u mnie przecież zwierzyna,
Jako strzał piękny i jak pieczyste,
Bo czy się wyrwie ci z pod nóg prawie,
Czy też przeleci nad samą głową,
Czy bokiem ciągnie ci po Popławie,
Świecąc sukienką swoją bronzową,
To tak cię nagle jakoś poruszy,
Całego wstrząśnie i przejmie szczerze
Silnem wzruszeniem do głębi duszy,
Jak żadne nawet najgrubsze zwierzę.
Dobry jest sobie w nagance lisek,
Ale mniej więcej gość to codzienny
Kiedy do strzału i na półmisek
Niemasz od słonki naszej jesiennej!
Tylko że w gąszczach nie łatwa wcale
Sprawa ją strzelać, patrzysz przed siebie,
Czasem broń nawet trzymasz niedbale,
Bo co tam zając jakiś dla ciebie,
Wtem ci słoneczka mignie przed okiem
Jak błyskawica, zatoczy młynka,
Nie podążyłeś schwycić ją wzrokiem,
Znowu w powietrzu dała kominka,
I już ci znikła... bac! bac! gdzieś w krzaki,
Najczęściej pudło i głupia mina,
Gęba otwarta, a nos ot taki,
I mydło tobie, a nie zwierzyna!
Ale już za to jeśliś się w porę
Miał czas obejrzeć, złożyć, wycelić,
Biorąc przed dziobek na miarkę sporę,
I podążyłeś na czystem strzelić,
Że widzisz, jak ci w koziołkach spada,
A wiesz, że lepiej w życiu nie strzelisz,
To już masz panie radość nie lada,
Której na lisów trzech nie zamienisz!
Nie mówiąc o tem, co za pieczyste
Masz z niej na obiad w parę dni potem
Pachnące, białe, kruche, soczyste,
W tym ze słoninki pancerzu złotym,
I tą grzaneczką, z warstwą gorącą
Różnych przysmaczków z brzuszka dobytych,
Rozkosznie w ustach twoich chrupiącą!
Tryumf kucharzy niepospolitych,
Nie mniej zaś tego, co trafnym strzałem
Sam się uraczył takim specyałem.

Przepiórkami się Litwa pochwalić nie może
Jest ich trochę, co każą ludziom zbierać zboże
Swem: *pójdźcie żąć, pójdźcie żąć*, zawsze wymówio-
Jakimś raczej gderania niźli rady tonem, [nem

Jak gdyby człek nie wiedział bez niej, że do żniwa
Przygotować się trzeba i w zapas grosiwa,
I w zapas cierpliwości przy zachodniem wietrze,
I grożącym niechybną słotą barometrze.
Słuchamy więc przepiórek tylko jak gderania
Wściubskich jakichś kumoszek, ale polowania
Z nich nie ma, bo sztuk kilka, co się zabić zdarzy
To tryumf już, o jakim rzadko kto i marzy,
A nie wart i zachodu, bo gdzie czego mało,
Tam się i polowanie nie na wiele zdało.
Rzadko się też przepiórka zjawi gdzie na stole,
Bo to nie Ukraina, ani też Podole,
Gdzie ich biją tysiące, i gdzie polowanie
Z pewną nawet emfazą odbywa się na nie,
Jako w kraju, gdzie każdy sobie przypomina:
„*Susły Panie kochanku, to gruba zwierzyna*". *)
Przebaczcie Podolacy mi to przypomnienie
Konceptu Radziwiłła, nie lekceważenie
Waszych smacznych przepiórek, ani zazdrość pusta
Dobrego polowania kładzie mi go w usta,
Lecz przeciwnie żal szczery starego Litwina,
Dla którego szanowne wszystko, co zwierzyna,
Od kwiczoła do strusia, od kuny do słonia,
Nawet hypopotama i morskiego konia,
I który w owej Litwie, co jest jego gniazdem
Bardzoby rad przepiórki nakrywać rozjadem,
Lecz że tego nie może, więc dla tego pono
Ma je za niedojrzałe jeszcze winogrono.

VII. Jarząbki.

Skoro już pierwsze śniegi zaczynają pruszyć,
Wiatr, zimno, a człek nierad i krokiem się ruszyć
Z domu, gdzie mu jest milszy błogi wypoczynek,
Dobra szklanka herbaty i ciepły kominek,
Od wszystkich wizyt, zebrań i zabaw tak zwanych,
Na których zamiast śmiechu i oczekiwanych
Przyjemności, najczęściej człek się i nie bawi,
I jaką biedną szkapę lub dwie okulawi,
I wróci przemarznięty, bo nie wziął kożucha,
I przegra w preferansa, i głupstw się nasłucha,
I nazłości nierzadko, zwłaszcza gdy go spotka
Jakiś ukaz rządowy, lub sąsiedzka plotka,
Wyjątek w tem jednakże stanowi wezwanie
Na dobre z naganeczką nasze polowanie
Na jarząbki, przynajmniej już warto dla tego
Poświęcić i dni kilka i konia jakiego,
I nadwerężyć boków, gdyż to mojem zdaniem
Raczej ciekawem studyum jest jak polowaniem,
Studyum to naszych lasów, poleskiej natury,
I poleskiego ludu, który wyznam z góry
Mam za jedyny okaz, a zarazem dowód,
Że człowiek nie od małpy wiedzie swój rodowód,
Ale cokolwiek wyżej, gdyż przyznać się muszę,
W nim jednym dopatrzyłem nie tylko że duszę,
Ale duszę od wieków z Boga się kształcącą,
Bo łagodną, cierpliwą i przebaczającą.
Teoryi pięknych nie zna, z czerotów i błota
Nie wyczytał poleszuk, co jest, czy jest cnota?
Ale wie, co jest zbrodnia, i w tem sercu łzawem
Wyryty wstręt wszystkiego, co jest złem, nieprawem,

*) Pamiątki Soplicy.

I co z krzywdą bliźniego, tak zaś z łaski nieba,
I hojności natury mało mu potrzeba,
Że mu do głowy nawet nie przyjdzie się żalić,
Tem bardziej kogo okraść, zabić lub podpalić,
Zostawia to w ustroju społeczeństw nam znanym
Narodom wykształconym, cywilizowanym,
Co pogodzić nie mogąc miłości bliźniego
Z pociągiem do homarów, trufli, szampańskiego,
Tak się zapominają, że nieraz w zapędzie
Użyją zbójeckiego noża za narzędzie
Do zdobycia kotletów z krwi, mięsa, i kości
Bliźniego, na podlewie łez biednej ludzkości!
Szczęśliwy zatem człowiek, którego zaniesie
Potrzeba lub przypadek na zacne Polesie,
Bo byle z tamtym ludem dzień albo dwa pożył,
Ujrzy w każdym człowieku to, co Bóg w nim stworzył,
Nie zaś to, co egoizm pod postępu maską
Przeistoczył na całość nikczemną i płaską.
Ale dość nieszczęsnego filozofowania,
A pomni, że to ma być opis polowania
Na jarząbki, odrzućmy ludzkość już na stronę,
A idźmy tam, gdzie czeka nas łowów spragnione
Myśliwstwo, i pod wodzą wytrawnych leśników
Naganka, z samych tylko niewielkich chłopczyków,
Poleszuków zawziętych, dla których Mosanie
Nie ma melodyjniejszych słów nad: *polowanie*,
I nie ma dźwięczniejszego w mowie wykrzyknika,
Nad: *haniaj! haniaj! brazgaj!* *) *Sojki* osocznika,
Który wraz z *Kowalczukiem*, *Hryszką* i *Dzicmianem*
Każdego polowania jest jakby hetmanem,
Jakby niezbędną duszą, bez której to ciało
Żadnejby siły, związku, jędrności nie miało,
Łysy, zawsze bez czapki, którą w torbie nosi,
Takim cienkim dyszkantem rozkazy *hołosi*,
Że go słychać o milę, a zwłaszcza też w chwili,
Kiedy na coś grubszego chłopcy natrafili,
I z ich gwaru nie dociec, najpilniej słuchając
Co tam jest? niedźwiedź, sarna, łoś, lis czy też zając?
Wtedy cienki głos *Sojki* górując nad gwarem,
Ostrzega zajętego fajką lub cygarem
Myśliwego, że rzeczy tu nie do palenia
Ale z czemsiś ważniejszem będzie do czynienia.
Chłopców rzeczą strzedz linii, wypatrywać pilnie,
Iść cicho, deszczułkami *brazgać* najusilniej,
I *hamanić***) dostrzegłszy gdzie przyczajonego
Wśród gałęzi jarząbka. Rzecz ta niemałego
Jest znaczenia, więc powiem też, jak się odbywa.
Wiadomo że jarząbek nie zawsze się zrywa
Przed naganką, lecz często ukryty w gęstwinie
Wyczekuje, aż ta go całą linią minie,
Wtedy na upatrzoną znienacka ptaszynę
Podbiega kilkunastu chłopców pod jedlinę,
Otaczając ją w kółko, i pewnem brzęczeniem,
Które się w ich narzeczu zowie *homonieniem*,
Lub *homonem* ***), głupiego jarząbka tak zdurzą,
Że biedny jakby nagłą zaskoczony burzą

*) *Haniać*, gonić, *brazgać*, klekotać dwiema deszczułkawi, które ma każdy chłopiec.

**) *Hamanić* rozmawiać, gwarzyć, ztąd homon, rozmowa, gwarzenie.

***) Wszyscy razem wtedy mówią: *hamani*, *hamani*, *hamani*, *homon*, *homon*, *homon*, co wydaje się zdaleka jak jedno jakieś brzęczenie.

Nie śmie ruszyć się z miejsca, i czuje się zdjętym
Jakiemś obałwanieniem w tem kole zaklętem,
Czy to przypisać głupstwu, czy magnetyzmowi,
Tego się nie tak prędko świat uczony dowie,
Ale to tylko pewne, że ptak nie ucieka,
Tylko jak urzeczony śmierci swojej czeka,
Na ten bowiem ich *homon*, ktokolwiek ochoczy
Podbiega, i z pomocą chłopaków gdy zoczy
Przyczajoną ptaszynę, strzela i zabija.
Kółko chłopców się wtedy na nowo rozwija
W jedną liniję, i rusza znów naganka lasem,
Postępując ku strzelcom nieprzerwanym pasem,
I płosząc wciąż jarząbki, które są zmuszone
Rade nie rade lecieć w strzelców zawsze stronę,
Strzały też idą gęste, choć nie łatwe wcale,
Gdyż lot cichy jarząbka wyrównywa strzale
Wyrzuconej cięciwą z stalowego łuku,
Dla tego to nagance tak wzbrania się huku
Wszelkiego, a przestrzega milczenie zawzięcie,
Żeby każde jarząbka opodal purchnięcie
Słychać było, co bardzo ułatwia strzelanie,
Jak niemniej też komendę i nawoływanie;
To też jak najwyraźniej wśród tej względnej ciszy
Każdy szelest, tem bardziej każdy trzask się słyszy,
A klekotanie chłopców w jeden ton się zlewa
Z każdym wiatru powiewem lub łusnięciem drzewa,
Chyba zatem podruszą jakiego już rysia,
Lisa albo zająca, zdarza się i Mysia,
To już wrzeszczeć im wolno, ile siły stanie,
Żeby zwrócić uwagę, i wtedy to panie
Słyszeć się daje *Sojki* dyszkant przenikliwy,
Górujący nad wrzawą, jak głos języczliwy
Klucznicy, kiedy kuchnią zajęta lub domem,
Toczy zaciętą walkę z wrogiem ekonomem.
Pilnuj lisa! jak wytnie falsetem, to chyba
Nie myśliwy, lecz ślimak lub bezkrwista ryba
Nie zadrgnie całem ciałem. *Pilnuj!* wszystkie wtedy
Dosyć nawet niedbale trzymane niekiedy
Fuzye się pochwytują, oczy w las utkwione,
Papierosy zdeptane, fajki porzucone,
I każdy czeka zwierza, który w tejże chwili
Z za jakiego się krzaka lub kłody wychyli.
Bac! któryś, lecz czy upadł, czy dalej ucieka,
Podziurawionej skóry unieść nie doczeka,
Bo go chłopcy wytropią po trawach i wrzosach,
Zaledwie przypruszonych śniegiem, jakby w nosach
Mieli zmysł i wiatr razem wyżła lub ogara,
A z pod ziemi dobędzie, jak ci się postara.
Po przetarciu ostępu, zwanego *kawałkiem*,
Bierzę się drugi, trzeci, czwarty, póki całkiem
Nie przejdzie się wzdłuż puszcza, trwa to tydzień cały
Lub więcej, a nazbiera się zapas niemały
Jarząbeczków prócz innej wszelakiej zwierzyny.
Można się zatem dziwić panie, że Litwiny
Dziatwa dzikiej Pińszczyzny, Słucka lub Mozyrza
Nie tęsknią do Florencyi, ani do Paryża,
Gdzie tak samo gołąbki nie lecą do gąbki,
A Bóg wie, jak drogo płacą się jarząbki!
Po każdem z tych polowań, kto chce z pewnych znaków
Poznać charakter ludu, niech kilku chłopaków
Weźmie na wóz, i słucha, czem te biedne dzieci,
Których spryt i wesołość żywa z oka świeci,
W tej chwili może głodne, pewnie rzemarznięte,
Są przeważnie, a raczej wyłącznie zajęte?

(Dokończ. nastąpi).

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ
KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VII.

Zwyczaje dzików tak co do stad jak i osobników ciekawy dostarczają do badania przedmiot w różnych porach roku. Jedne migrują szukając żeru, drugie usuwają się przed śniegami, inne pozostają w miejscu, częstokroć srodze biedując, w końcu są i takie, które szukają zacisza i spokoju, nie mając nawet odpowiedniego pożywienia. W części instynkt, rozum, pamięć, w większej części porozumienie i wrodzona ostrożność nimi kieruje. Przypominam sobie lata, w których sypano wał pod kolej ze Lwowa do Brodów, i to na znanych wekslach dzików z Żółkiewskiego w Złoczowskie. Stada i pojedyńcze sztuki dochodziły do wału, ale nie miały odwagi przekroczyć go, więc wracały. Przez trzy lata nie mogły się zdobyć na śmiałość przejścia przez nasyp, i dziś jeszcze widzieć można po tropach, że od kolei wraca ich wiele. Ostrożność ich wyrafinowana i wyrozumowana, i tak nigdy szkody w bliskości nie robią, a na dniówkę idą sznurkiem, trop w trop, aby jak najmniej śladu po sobie zostawić. Dwa razy uwziąłem się wystąpić lub przepłoszyć dziki czyniące ogromne szkody, a jednak znaleść ich nie mogłem. W Brzeżańskiem były istną plagą większych i mniejszych właścicieli, przeszukałem z psami wszystkie lasy i część łanów, a później się pokazało, że latowały w łanie pszenicznym. W Stryjskiem to samo poświęcenie z mej strony nie lepszym uwieńczone było skutkiem, przekonaliśmy się później, że przebywały wszystkie w małym kawałku, a było ich przeszło 20. Nocne wycieczki łupieżcze odbywają się u nich z wedetami, z awan- i ariergardą w największym porządku i karności. Sztuka prowadząca idzie naprzód, często fuka i wciąga powietrze szukając wiatru, gdy się oderwie stado, odpowiada, a warchlaki wtorują, rozlega się rechtanie nieustanne, a na dany sygnał rozściela się grobowe milczenie. W szkodzie gdy starszyzna fuknie, młodzież staje, podnosi uszy i ryj do góry, wtedy nie wolno żerować, a gdy głodne, to pomimo ostrzeżenia chrupią zębami, stare mruczą lub się posuwają i ryjakiem trącają niesfornych. Kiedy nic nie grozi, nieustająca brzmi rozmowa, albo może nauka, bo młode ciągle odpowiadają; odyńce zaś milczą. Zasiadki na dziki są niebezpieczne, niewdzięczne i przykre, samury i odyńce zawsze na dym i ogień strzału uderzają, a nie zawsze pośród ciemnej nocy można się usunąć. Następnie skutek zasiadki zawisł od sprzyjającego wiatru, którego przewidzieć nie można, wreszcie rzadko kiedy strzał bywa celny i śmiertelny, najczęściej postrzelone sztuki uchodzą i giną w zbożu lub gąszczach. Wprawdzie widzi się kontury zwierza, lecz trudno dopatrzyć miejsca do śmiertelnego ugodzenia. Nieszczęśliwy myśliwy, gdy w zbożu lub kukurudzy zabije warchlaka, wtedy rozwścieklona samura, o wiele od-

ważniejsza w nocy jak w dzień, pewnie go co najmniej poturbuje, jeżeli kalectwem lub śmiercią nie przepłaci. Wprawdzie wyszedłem cały z takich wypraw, mimo tego jednak radykalnie jestem wykurowany z namiętności do zasiadek. Jednej nocy pożarła mi psa dosyć rosłego rozjuszona samura.

Szkody wyrządzone przez dziki są nie do obliczenia, a kto ich nie badał, nie uwierzy opowiadaniom i skargom. Trzy razy w życiu musiałem szczegółowo badać szkody, i wtedy przekonałem się, że dziki są arcyszkodnikami. — W owym roku bezskutecznego szukania dzików w Brzeżańskiem, postawiono z resztek zmaltretowanej pszenicy stertę pod lasem. Widocznie dziki uradziły podminować stertę, już zupełnie osiadłą, a zatem prawie skamieniałą, i w niej szukać pożywienia. Postanowienie wykonane zostało z znakomitą zręcznością, podziwienia godną wytrwałością i rozumem. Oczywiście nikt z oficyalistów i ze służby nie obchodził sterty do koła, rewidowano ją z drogi od pola, gdzie żadnego tropu dzika nie było, i patrzano, czy wichry nie zrzuciły dachu. Dziki, jak nihiliści w Petersburgu, minowały stertę od strony lasu, i dopiero gdy przypadkowo leśniczy dotarł do sterty, przekonał się o wyrządzonej szkodzie i narobił hałasu. Sterta w swem wnętrzu przedstawiała sklepienie, któreby się było niebawem zawaliło, w środku zaś setki korcy sieczki narobionej przez dziki, szukające kłosów i ziarna, a przecie mimo pokusy tych miękkich barłogów, podobnych do niemieckich pierzyn, żadnemu dzikowi nie przyszło na myśl ułożyć się na dzień w tym ciepłym barłogu, wiedziały bowiem dobrze, że po wyrządzonej szkodzie należy uciekać do bezpiecznego i oddalonego miejsca. Po skonstatowaniu tak ogromnej straty zawrzało pragnienie zemsty, postanowiliśmy więc łapać dziki, nie przystępne dla nas, w tej pamiętnej zimie z powodu głębokich śniegów i niezamarzniętej ziemi. Wykopano rów pod stertą od strony lasu na sążeń głęboki i tyleż szeroki, nakryto go gałęziami i przetrzęsiono słomą przeniczną. W gorączkowem oczekiwaniu siedzieliśmy do rana, i przekonali się, że dziki przy stercie nie były, ale nazajutrz rano z niesłychaną radością naszą znaleźliśmy w rowie rozwścieklonego odyńca, samurę i troje warchlaków. Po tropach sądząc, musiało znaczne stado powrócić do lasu, spostrzegłszy katastrofę doznaną przez towarzyszy. Wiązanie dzików bez licznych bierczych psów, jest mrzonką nie do wykonania, przekonałem się, że pomimo naszych wysileń w kilkunastu, przy pomocy sznurów i wideł, nie można było złowić żywych, dużych dzików później zastrzelonych, i ledwie zdołaliśmy związać trzy warchlaki, które się zacięcie broniły, i chłopów po nogach potłukły.

Wiatr dzika jest nadzwyczajny, i on to jest przyczyną tak często niewychodzenia dzików przed naganką. Kilkakrotnie badałem wyrzucone kartofle grubą warstwą ziemi pokryte, lub kultury dębowe, w których żołędzie z pod śniegu wydobywały odyńce, nie opuszczając żadnego rzędu. Jak to się dziwić, że dziki nas wietrzą przesiąkłych tytuniem! Dziki doskonale rozróżniają ludzi i przewidują niebezpieczeństwo. Nie raz słyszałem głos trąby, spiew i różne hałasy, widziałem ognie płonące, a opodal dziki wyrządzające szkodę w polu; przeciwnie zaś, gdy kilku myśliwych zasiadło na nie, to one ich wietrzyły, i rzadko kiedy udało się strzelić do nich. Szacowałem ogród przestrzeni blisko morga, zasadzonej kukurudzą, zupełnie wyjedzoną w jednej nocy przez odyńca, a pole pięciomorgowe, zasiane jarą pszenicą, z której nie wiem, czy można było zebrać sześć snopków. Nie można się przeto dziwić nienawiści wieśniaka do dzików. Dzik w ogólności nie smakuje w kartoflach, jedynie głodem trapiony pożera je i to w zimie. Nie jeden sądzi, że dzik ryjący w kartoflach takowe zjada, że tak nie jest najlepszy dowód w leżących na powierzchni kartoflach, on ryje za pędrakami i poczwarkami, które tak lubi, że przewróci niekiedy przestrzeń dwóch morgów. Po tej jego pracy można korcami zbierać ziemniaki pod jesień. W wielu leśnych okolicach sieją przenice w kartofliskach, i ludzie doznają ogromnych szkód, gdyż dziki ryjąc przewracają ozimine, z korzeniem ją wyrywają, pustosząc zupełnie zasiewy. W głodzie rozwalają spróchniałe pniaki, pożerają to próchno z zarodkami robaków, a pamiętne mi są napełnione sianem, a chude jak szkielety.

Układają się te rozumne zwierzęta częstokroć w miejscowościach ludnych i na widowni będących, a przyczyny tych licznych wyjątków odgadnąć nie można. Szczególnie odyńce to czynią, jak gdyby do walki wyzywały i niebezpieczeństwem gardziły. Muszę tu kilka takich wyjątkowych barłogów opisać. Nie jednego znałem odyńca, leżącego śród rębaczy, lub przy publicznych drogach tak blisko, że ze sanek można było do niego strzelać. Lubieżnik ten trapiony owadami, zakopuje się w mrowisku tak głęboko, że mu tylko głowę z uszami widać, i rozkoszuje w łechtaniu spowodowanem przez mrówki pożerające owady trapiące go, a czyni to w późnej zimie, nigdy go bowiem nie widziałem w mrowisku przed Nowym rokiem, wnoszę więc, że się tam układa wtedy, gdy część gęstej szczeciny stracił, i skóra jego stała się dla mrówek przystępniejszą. Badanie odyńca nader zajmujące, jakto on doskonale poznaje chłopa idącego lub znajomego leśnego, jak nieruchomy patrzy na chłopskie sanie lub wiozące drzewo, a jak ostro strzyże uszami na widok surdutów lub futer, większych koni lub malowanych sani, głowę podnosi, wciąga powietrze, wreszcie się podnosi, rekognoskuje, i według okoliczności albo układa się w mrowisku lub wynosi w miejsce bezpieczniejsze. Posągowej piękności jest wtedy, gdy się na przodzie podniesie, szczecinę grzbietu najeży, i uszami strzyże. W moim lesie był miot nazwany kąt zajęczy, tradycya wskazywała, że się od wieków tak nazywał z powodu podobieństwa do łba zajęczego. Miot to był kilkomorgowy nad drogą z dwoma głębokimi jarami, jeden wzdłuż, drugi poprzek. W miocie tym przeniewierzył mi się stary Hryńko. Pomimo, iż nauka chrześciańska nakazuje dobrze mówić o umarłych, to ja jednak do tej chwili po 25 latach nie mogę tego epizodu zapomnieć, ani też Hryńkowi przebaczyć. Przychodzi on raz do mnie i powiada, że w tym kącie leży 17 dzików. Roześmiałem się mówiąc, że na taką ich liczbę nie ma tam nawet miejsca. Hryńko odpowiada mi z pogardliwym uśmiechem: „chodźmy cicho pod tego buka, a zobaczy Pan całe stado leżące“. Osłupiałem jak gdyby wyrocznia mówiła, i rozglądałem się, choć nie w obcym lesie byłem, z jednej strony była droga leśna, z drugiej łąki z porozrzucanemi na niej drzewami. Przypuścić mogłem dniowanie odyńca, lubo w ciągu lat trzydziestu nigdy tam dziki nie zalęgały, ale stada i to tak licznego bez warchlaków — przenigdy. Idę z Hryńkiem cicho jak pająk pod tego wskazanego buka, i rzucając okiem za ręką tropiciela widzę obraz dotąd nie zatarty w mej pamięci. Od parowu na ośm metrów leży w kupie 15 dzików, mniejsze w wianek ułożone, każdy ryj między tylnemi nogami poprzedniego, w środku zaś wianka leżą spokojnie dwie sztuki, opodal jeden duży dzik, wyżej nieco drugi tych samych rozmiarów. Zadrgało serce, byłbym z radości brudnego Hryńka uściskał, i myśl egoistyczna przesunęła się przez umysł, ale nie pozostała w nim. Nigdy sobkostwem nie grzeszyłem, więc zwalczyłem pokusę dosyć silną, można było bowiem z łatwością zrobić dublet do leżących — powróciłem do

mych towarzyszów. Oczywiście był to czas hukania, a dziki po weselu i prawdopodobnie nader dalekiej podróży, były bardzo zmęczone, i spały doskonale. Podobnego zdarzenia drugi raz nie doświadczyłem Wypytawszy się dokładnie o wchodowy trop, rozstawiłem myśliwych, sam zaś przekradłem się przez jar, i stanąłem od leżących dzików na tropach może o 50 kroków. Co robi Hryńko? Pokusę zabicia dzika nie zdołał przemódz ów tropiciel, przepełzł więc na brzuchu głęboki parów, doczołgał się do brzegu i stanął od dzików na ośm metrów. Wymierzywszy, jak twierdził, doskonale w kupę całą, strzelił dwoma półkulkami i trzynastu lotkami ze swego karabina, i — ani jednego nawet nie drasnął. Dziki tropem swym pędzą na mnie tak szalonym galopem o kilkanaście kroków, że ledwie jednego zdołałem ubić, a do drugiego nawet strzelić nie mogłem. I tak dziki ujęte jakby w klatkę, uszły zostawiając tylko jednego trupa, na którym Hryńko otrzymał zasłużoną karę z całą surowością.

Wspomnę jeszcze o drugim nader rzadko wydarzającym się wypadku. W Stryjskiem był geniusz-tropiciel zwany Kupryk, małomowny jak marynarz, bystrości w tropieniu niewidzianej i przenikliwości podziwienia godnej, ze znajomością zwyczajów i natury dzika jakby ukończony zoolog. Mnie, jak mniemałem, również dobremu tropicielowi, imponowała szczególnie umiejętność jego rozpoznawania liczby dzików idących częstokroć sznurem, ślad w ślad jeden za drugim. Nie pamiętam jednego wypadku, w którymbyśmy nie sprawdzili zapowiedzianej ilości dzików. Było to w końcu Listopada, gdy stary do nas przystąpił i oznajmił, że w parowie na Łazach jest 14 dzików. Łazy i czahary są właściwością Stryjskiego i Stanisławowskiego obwodu. Nie każdy z czytelników ma o nich jasne wyobrażenie, więc je tu naszkicuję. Są to krzaki gminne dębowe, wyrastające z pni ściętych dębów, na mokrych miejscach przerośnięte łąki olchowemi i wierzbowemi gęstwinami, pomotane pędami dzikiego chmielu, poprzerzynane strużkami bagnistemi, łączkami, częstokroć strumyczkami. Gdzieniegdzie rosną tam na kępinach osokowe trawy, to znowu kupki trzciny i olbrzymich chwastów. Są to w części sianożęcia, w części pastwiska dla bydła. Na tychto przestrzeniach ginie wiele zwierza w ogniu podkładanym na wiosnę przez chłopów w celu wytępienia krzaków i ułatwienia wegetacyi traw, a w szczególności ginie wiele cieciórek siedzących wtedy na jajach. W lecie na suchszych miejscach buja wrzos, rosną borówki, poziomki i różne jagodowe krzewy — to istny raj dla myśliwego-przyrodnika. Krocie owadów, barwistych motylów, pieśń melodyjna spiewaków, derkanie chruścieli, bicie przepiórek, beczenie rogaczów, wabienie kuropatw, ruch i życie absorbuje badacza. Niby to las, niby łąka zarośnięta, gąszcze, opodal stogi siana, widok dzików, spotkanie z niedźwiedziem śród smętnego spiewu kosarzy. Często na te przestrzenie zlatują słonki w jesieni i na wiosnę w niezmiernej ilości. Jestto jedyna miejscowość przystępna dla myśliwego z wyżłem, krzaki bowiem nie są wysokie, wszędzie łączki i smużki dozwalające łatwego strzału. Przestrzenie to kilkomilowej rozległości, istny zwierzyniec, z którego można brać ptaki i inną zwierzynę. Kto posiada mokre łazy i czahary, i zbadał je po myśliwsku w każdej porze roku, może zaiste ciekawych dostarczyć wiadomości dla „Łowca“. Ruszałem tam cietrzewie, kuropatwy, chruściele, przepiórki, dubelty, kszyki, kuliki różnego gatunku, kaczki, ceranki, czaple, bąki i kurki, dziki, sarny, lisy i zające, dwa razy zaś w życiu ruszyłem niedźwiedzie. Obrazek ten sądzę obudzi w niejednym myśliwym żywą chęć zbadania tego łowieckiego raju.

W Listopadzie obieliła przyprószka taką przestrzeń a przyroda gdyby cukrem osypana przedstawiła się oku. Taka mała ponówka wystarczyła już bystremu tropicielowi do najdokładniejszego otropienia dzików. Gdyśmy konno na miejsce dojechali, doznałem niemiłego wrażenia. Pole otwarte, tu i owdzie sterczące starodrzewa pokonane zimowemi burzami, łąki zarośnięte krzakami, pasma waskie gąszczow, i jar na jarze zacieniony krzewiną niską, lecz gęstą, dosyć nieprzystępną dla człowieka. Pomyślałem sobie, że ta miejscowość musi być ojczyzną dzików w lecie, gdyż w zimie nadto jest otwartą. Wątpić o podaniu Kupryka nie było wolno, on był nieomylny. Postawił mnie nad żyłką parowu śród młodych olszynek, palcem wskazał bezdeń podemną, i rzekł lakonicznie: „Są!“ Po tym objawie właściwej sobie wymowy, kiwnął głową, i poszedł rozstawiać myśliwych i puścić psy na wchodowy trop, a czynność tę uważał za tak ważną, iż nigdy jej nikomu nie powierzył. Rozglądałem się ciekawie, nigdy bowiem nie spotkałem dzików na tak gołej przestrzeni i w tak małym parowie, w jakim zwykle w jesieni polujemy na zające. Do parowu zajrzeć nie mogłem, bo ściana, nad którą stałem, zbyt była stromą i nie mogłem się do niej zbliżyć. Po chwili oszczekał tropowiec dziki, puszczono psy, zawrzał gwar i hałas nie do opisania, szum i furkanie, zdawało się, że podemną krocie kundysów ujada za setkami dzików. Gwałtowne bicie serca zapowiadało zbliżenie się zwierza, gdy żyłką, nad którą stałem, wysuwa się stara samura, wydobywa się z wysileniem na brzeg, i przez chwilkę odpoczywa fukając z znużenia. Mogę tu zaprawdę zastosować przysłowie: „*Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi*“, do tej bowiem stojącej postaci niepospolitych rozmiarów najspokojniej mierząc chybiam na pięć kroków odległości, a gdy skoczyła w bok, strzelam z drugiej lufy i znowu chybiam najhaniebniej. Dreszcz po mnie przebiegł, uroki się przypomniały, drgać począł cały organizm, wreszcie krew uderzyła do głowy, bijąc mnie za karę po skroniach. Nie widząc wychodzących psów, a słysząc pod sobą głośne ujadanie, domyśliłem się, że resztę dzików psy trzymają, i że dążą za przewodniczką, rzuciłem więc mój nieszczęśliwy sztuciec, wydobyłem kordelas, zbliżyłem się do żyłki, i czekam nie mogę twierdzić w spokojnem usposobieniu, ale nic zobaczyć nie mogę. To trawiące mnie oczekiwanie skończyło się wreszcie pojawieniem się dwuletniej samury idącej tropem pierwszej. W chwili gdy się miała z parowu wydobyć, wskakuję na nią, a widocznie byłem dla niej za ciężki, bo przysiadła, następnie powaliła się na bok i przygniotła mnie, lecz po chwili znowu stanęła na nogach uginając się i kwicząc przeraźliwie. Kłułem kordelasem mego wierzchowca, ale siedząc zbyt na przodzie czynność ta była mi niedogodną, więc kłułem, gdzie mogłem posuwając się ciągle na grzbiet samury. Nastąpiła katastrofa wcale dla mnie nie miła, kwikiem dzika przywabione psy porzuciły stado, i przybiegły szarpać samurkę, na której siedziałem, to chwytały szynkę, to moją lisiurkę, nawet poczułem kilka zębów w pewnej części ciała, w końcu widzę kawałki mego ubrania na śniegu, i gdyby się był zakłuty dzik nie przewrócił, byłbym musiał opuścić moją ofiarę, i ze wstydem wołać o pomoc. Wprawdzie wyszedłem z walki zwycięzko, lecz ubranie było w opłakanym stanie, a wiatr przez łachmany wciskając się, ziębił mi wnętrzności. Psy były do tego stopnia rozżarte na samurę i na mnie, że nawet nie zwróciły uwagi na przesuwające się koło mnie dziki i na padające strzały mych towarzyszów.

W zimie widywałem w górach oblęgające dziki w parowach leszczyną zarosłych przy wsiach, a w nocy żerujące po ogrodach. Zdawało mi się, że to być muszą swojskie świnie,

ale przekonałem się, że to były dziki, i nie jeden odyniec leżał tam zapewne zapędzony głodem i niezgłębionymi w górach śniegami. W lecie można często spotkać dziki po małych lasach w bagnistych okolicach, nawet w wiklinach nad rzekami chmielem przerosłych, a niezbyt suchych w zbożach i kukurudzach, a często w małych kawałeczkach zacienionych w pobliżu domów. Zdarzało mi się nieraz widzieć dziki w bliskości dosyć hałaśliwych dworów i szczekających psów. Zwierz ten zawsze ostrożny i czujny dopiero na śniegu myli trop, jak gdyby wiedział, że on go zdradzić może, aby zaś ocenić jego rozum, pamięć i ostrożność, trzeba studjować ślady na śniegu i przekonać się naocznie, jak to on chodzi, aby zmylić drogę do barłogu.

Roku 1861 polowałem w Majdańskich lasach dosyć wysoko w górach, na głębokich śniegach z pamiętnym dla mnie Konstantym dosyć szczęśliwie, bośmy wybili w okolicy dziki, i trzeba było przenieść się w wyższe góry. Rosła samura z ośmiu warchlakami straciła w walce z psami troje dzieci, następnie znikła z rewiru. Wstrzymywał mój wyjazd Konstanty upewniając, że samura być tam musi, bo w tem miejscu urodzona i wychowana, więc pewnie, jak się wyrażał, gdzieś się zapchała, ale on wynaleść ją musi. Niebawem po małej ponowie zjawia się on, i oznajmia, że zatracone stado odkrył, i że ono zaległo w otwartem polu. Ktożby temu uwierzył, a jednak istotnie tak było. Na górze zoranej przestrzeni kilkuset morgów były jamy utworzone przez poszukiwanie rudy żelaznej, okolone głogami, tarniną, a nad jamami stało jedno skarłowaciałe drzewo, od kniei znacznie oddalone. Z pewnością niktby tam dzików nie szukał, i trzeba było sprytu i niezmordowanego trudu Konstantego, aby je wykryć i obtropić w miejscu, gdzie prawdopodobnie od dziesięciu dni zalęgały, po polu żerowały, do lasu zaś wcale nie chodziły. Stawia nas Konstanty od lasu na potoku, i zapowiada, że je sam wypędzi bez psów, byleśmy cicho i zakryci stali. Od nas do dzików było najmniej 1500 kroków, a przestrzeń zupełnie biała, niczem nie zacieniona. Stoimy w radośnem usposobieniu oczekując pojawienia się stada dzików na czystem, śniegiem pokrytem polu, co zaiste nader rzadko się zdarza. Gdy Konstanty zaszedł od grzbietu góry i huknął, wysunęła się z tarniny samura, za nią warchlaki, a gdy donośnym głosem wołać począł: „pilnuj! pilnuj!“ sadziło stado galopem, w susach na nas tak rozpryśnięte, że na każdego z myśliwych wypadła jedna sztuka, którą też każdy położył. Zginęło sześć dzików, i śmiało twierdzić mogę, iż w bliższej okoli już żadnego nie było.

Dziki srogo cierpią na głębokich śniegach i utworzonej na nich skorupie. Nie tylko głód im dokucza, bo nie mogą doryć się ziemi, lecz też ostre, lodowate śniegi golą im nogi po kolana i skórę z nich zdzierają tak, że mocno farbują. Pomimo tej męczarni, łażą i wędrują, bo taka ich natura. Zdarzało mi się nieraz widzieć dziki wychodzące z lasu obfitującego w żer, idące do sąsiedniego rewiru, i powracające nad ranem do swego lasu. Dla czego to czyniły — trudno wytłumaczyć. Gdy śniegi są głębsze, jak wysokość nogi dzika, ustają zwykłe wędrówki, a dziki prują sobie koryta, idąc gęsiego na krótkich przestrzeniach. Często widywałem stado dzików, pchające się za pierwszym tak, że tylko grzbiety, uszy i czuby głów były widoczne, a ileż to takich w moich oczach chybiono przez zgórowanie. Między innemi zdarzeniami jedno mocno utkwiło mi w pamięci. Nie pomnę w którym roku spadły śniegi na wysokość co najmniej dwóch metrów, i już aż do wiosny nienaruszone przetrwały, a że śnieg spadał bez wiatru, powierzchnia wszędzie była równą. Przypominam sobie, że nie można było wtedy wierzchem jeździć, gdyż koń z trudnością wydobywał nogi ze śniegu, a nawet psy nie mogły gonić na dalszą odległość, i kładły się ze zmęczenia, gdyż wszędzie zapadały w śniegu. W późnej zimie potworzyły się ślady, drożynki i ścieżki, wydeptane przez leśnych, fury poczęły jeździć po drzewo, chłopi potrzebujący zarobku rąbali sągi, bałując po kolana w śniegu i odkopując zaśnieżone pnie. Poczęliśmy wtedy z psami polować z wysileniem i trudami nie do opisania do tego stopnia, że w sześciu obcięliśmy odyńca z trzech stron w miocie, i nikt z nas, pomimo dobrych wierzchowców nie był w stanie czwartą stronę obciąć. W tej pamiętnej zimie puściliśmy na stadko dzików nasze trzy psy, rozstawiliśmy się jak było można, a dziki nas minęły, bo na głos psów nikt nie mógł podejść, zbliżyć się do nich, więc wszyscyśmy się rozproszyli za przewodnika mając tylko swój myśliwski instynkt. Ja wyrozumowawszy, że dziki muszą przejść drogę, jechałem ścieżkami różnemi, i dostałem się na trakt, na którym przedstawił mi się pocieszny obrazek. Dziki wolno jak żółwie pchają się korytem jeden za drugim, było ich pięć, a psy idą gęsiego za dzikami, i ani razu nie wyskakują z głębokiego koryta. Ostatniego dzika szarpie potroszę pierwszy pies, lecz czyni to widocznie tylko dla formy, bo wcale go nie przytrzymuje. Prę konia ile mogę lecz pospieszyć niepodobna, lubo widzę już starego W. składającego się do dzików. Strzela raz — pierwszy dzik się kładzie; strzela do drugiego, i ten się wali, a widząc mnie za sobą, woła: „Dwa zabiłem!“ Od tej sceny byłem oddalony najmniej o 300 kroków, można więc sobie łatwo wyobrazić, z jakiemi trudnościami w pochodzie walczyłem, kiedy pomimo takiej pokusy, nie mogłem się na strzał do dzików zbliżyć. Żaden z mieszkańców stron zachodnich nie uwierzy temu opowiadaniu, nie ma bowiem pojęcia o takich śniegach. W bieżącym roku 1879/80 mogłoby się takie zdarzenie powtórzyć, były bowiem lasy podobnie zawalone śniegiem z dodatkiem zawierzuch i zasp na krajach każdego miotu. Owóż W. nie może dojść i ledwie się rusza, dwa dziki leżą, trzy stoją, a psy naszczekują, ale nie dążą do zabitych. Po chwili zmartwychwstały ogłuszone tylko dziki, i sznurkiem ciągnąc giną w gąszczu. Sądzę, iż mało który z myśliwych w zapiskach swoich umieścił podobne wydarzenie.

Zimy z głębokimi śniegami, a do tego jeszcze z twardą i ostrą skorupą dziesiątkują dziki, a szczególnie warchlaki. Przypominam sobie śród olbrzymiego łomu trzy warchlaki nieżywe, ułożone jeden obok drugiego, inne trzy znowu pod bukiem, pięć w barłogu, a raz zeszedłem siedm w wianek ułożone. Samury nigdy przy nich nie było, widocznie silniejszy jest u matek instynkt zachowania życia, jak przywiązania do dzieci. Znachodząc często nieżywe dziki po gąszczach i debrach bez ran od strzałów, zadawałem sobie pytanie, ażali one nie giną z nędzy i głodu, jednakże żadnego z nich nie widziałem wychudłego i szkieletowatego, więc według mego doświadczenia, dorosłe dziki w najcięższych zimach wytrzymują polskie mrozy i śniegi i w końcu doczekają się naszej zawsze spóźnionej wiosny. Dosyć ciekawe porównanie robiłem między odyńcami i samurami. Pierwsze około wiosny były kościste i wyschnięte, gdy przeciwnie nigdy zupełnie chudej samury zwłaszcza prośnej nie spotkałem. Przypisuję ten nędzny stan odyńców męczącym wędrówkom, które nieustannie odbywają i jak się zdaje odbywać muszą. Warchlątka do chwili ostatniego wysilenia łażą przez noc całą, próbując słabymi ryjami ruszać twarde śniegi, i gdy już ostatnia godzina wybiła, wtedy rodzeństwo układa się jedno koło drugiego, i biedactwo oczekuje śmierci. Ileż to warchlaków wyłapały moje psy bez żadnego wysilenia, niemal w barłogach, nawet się te biedne stworzenia nie broniły, tak

były osłabione, a chude do tego stopnia, że nikt ich potem jeść nie chciał, nawet psy ze wstrętem od tej strawy się odwracały. Dwa czy trzy razy chłopi w nagance pozabijali i połapali warchlaki zupełnie bezbronne.

Doświadczenie nas uczy, że dziki po kilka i kilkanaście godzin na dobę chodzić i włóczyć się muszą, ale w porze śnieżnic i zawieruch nie opuszczają barłogów, i częstokroć leżą dwa dni, a odyńce niekiedy leżą 4 do 5 dób, nie ruszając się wcale, widywałem śniegiem przyprószone i tak od leżenia skostniałe, że uciekać nie mogły. W czasie burzy są najmniej czujne, i jeżeli jest wyraźny trop, można z pewnością dojść do barłogu, używając dobrego wiatru Stada wytrzymać nie mogą bez ruchu i pożywienia nad 24 godzin, widocznie głód zmusza młodsze i szybko trawiące żołądki do szukania żeru, kiedy przeciwnie odyńce leżą nieruchome przez długi czas. Przypominam sobie, że dnia jednego powracając z polowania przez las, wstąpiłem do budy leśnych w celu zapytania, co słychać o dzikach? Jeden zdał sprawę, że tego samego dnia, w którym wyjeżdżałem na łowy, duży odyniec wszedł do klinu zrębu, i od tego czasu nie wychodził z niego, oni zaś co dzień miot ten obchodzili. Dziwnie mi się to wydało, żeby odyniec mógł leżeć przez pięć dób bez żadnego pożywienia. Celem przekonania się o tem, puszczamy dwóch leśnych na zawiany trop, ja zaś z moim znajomym stajemy na śladach rzekomo wchodnich, które w zupełności były prawie przez kurzawę zagładzone. Może przez dwadzieścia minut hałasowali chłopi, a odyńcowi nie chciało się ruszyć, nareszcie widząc go zgarbionego i wynoszącego się z gąszczu ku mnie, strzeliłem. Po strzale padł, a gdyśmy go wypatroszyli, to kiszki były zupełnie próżne, on zaś w okrągłem ścierwie. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Krasiczyn, w Kwietniu 1880.

Przesyłamy Szanownej Redakcyi sprawozdanie z polowania na dzika z psami odbytego w lasach Krasiczyńskich, które dla czytelników „Łowca“ może nie będzie obojętnem.

Polowanie odbyło się w dniu 1. Marca. Podleśniczy doniósł nam, że dnia poprzedniego przyszedł duży dzik od strony Maćkowic do rewiru Żurawickiego i obtropiony został w pierwszym miocie pod szańcami Ujkowickimi. Dzik ten nie był miejscowym i dopiero drugi raz w tej zimie obległ w rewirze Żurawickim; przebywał on po największej części w lasach Rokietnickich i Maćkowickich, z których po niedawno odbytych polowaniach do lasów Krasiczyńskich się przeniósł.

Wyruszyliśmy w ośmiu, wziąwszy z sobą jedenaście psów, z tych dwa tropowce a resztę kundysów. Psy zaprawione na dziki okazywały nadzwyczajną ochotę tak dalece, że nie można ich było utrzymać na saniach i za lada powodem się zrywały. Dwa razy nawet opadły świnie swojskie, czem zdaje się jeszcze bardziej się rozżarły.

Stanąwszy na miejscu, nie mogliśmy z powodu znacznej odwilży na razie odszukać tropu dzika i dopiero po dwukrotnem obcięciu znaleziono trop bardzo nie wyraźny, na który puszczono tropowca. Pięciu myśliwych rozstawiło się na linii naprzeciw tropu dzika, trzech zaś stanęło na skrzydle, między tymi zaś na ostatniem stanowisku nadleśniczy p. Riv... kierujący polowaniem. Dojeżdżacz miał rozkaz puścić dopiero wtedy resztę psów w liczbie dziewięciu, gdy dzik ruszony z barłoga przez tropowce oszczekiwany będzie. Nagonkę rozstawiono na linii, przez którą dzik wszedł do miotu. Dopiero po zaatakowaniu dzika przez psy — miała nawoływać aby mu odwrót odciąć. W kilka sekund po puszczeniu tropowców, usłyszeliśmy już naszczekiwanie, dzik bowiem zaległ tylko o 30 kroków od linii. Puszczono też zaraz resztę psów, które o jakie 80 kroków osadziły dzika, otaczając go wiankiem i szarpiąc zapamiętale. Po chwilce zażartego naszczekiwania, słychać było żałośne skomlenie. Nadleśniczy p. R., domyślając się, że dzik gwałtownością nacierających psów bardzo się rozjuszył, a bojąc się, by nie zrządził wielkiej szkody w psiarni, opuścił stanowisko i w kilka minut stanął na miejscu walki najdalej o 20 kroków od dzika. Tu przedstawił mu się niezwykły widok: dzik osaczony psami kręci się w koło, zadając ciężkie razy. Trzy psy ciężko ścięte powlokły się na bok, mała buldoczka Miss, najbardziej rozżarta wpiła zęby w udo dzika, wlokąc za sobą swe wnętrzności, które jednem cięciem szabli dzik jej wypruł. Razy były gwałtowne, jednym rzutem gwizdu wyrzucił ciężką sukę Belę, z rasy duńskich dogów, w powietrze na wysokość kilkunastoletniego zapustu, który był areną walki, szablą wypruł wnętrzności, co jednak nie wstrzymało jej od tem gwałtowniejszej napaści; nie wstrzymało jej też i drugie cięcie po za łopatką, głębokie i długie od mostka piersiowego do karku. Ustąpiła dopiero, gdy dzik leżał nieżywy. Podobnie rzecz się miała z tropowcem Porwiszem, również wyrzucony został w górę, wyprute miał wnętrzności, głębokie cięcie za uchem, drugie ucho w pół rozdarte, urwany ogon i cięcie w nogę. — Pokaleczony nie ustąpił jednak z pola walki i rwał nieprzyjaciela zapamiętale. Reszta psów nie ustępowała w zjadliwem atakowaniu. Z całej psiarni dwa zaledwie psy były nietknięte — pierwsze zaś trzy zginęły, nim je można było opatrzyć.

„Doznałem bardzo przykrego wrażenia“ opowiadał p. R. „patrząc na rozjuszonego dzika, wymierzającego częste a prawie zawsze ciężkie lub śmiertelne razy, nie mogąc w tej zaraz chwili nieść pomoc biednym psom, z których przynajmniej jednego trafić byłbym musiał chcąc skutecznym strzałem je ratować. Stałem spokojnie może minutę i dopiero w chwili, kiedy dzik raniwszy znów jednego psa z lewej strony, pokazał mi odsłoniętą prawą łopatkę, strzeliłem doń kulą — dzik się zachwiał i usiadł na zadzie. Z psów atakujących dzika zostało już tylko sześć, które po moim strzale z tem większą zaciekłością na niego się rzuciły; dzik nie podbiegał już ku nim, lecz siedząc w miejscu obracał się to w prawą to w lewą stronę i ciął jeszcze dwa psy. Korzystając z chwili gdy psa odtrącił i przez to się odsłonił, wymierzyłem drugą kulę w pierś, i po tym strzale powalił się zaraz, a psy wpadłszy na niego, tak go silnie przytrzymały, że już powstać nie mógł.

Po odszukaniu wszystkich psów, przy bliższych oględzinach, okazało się, że trzy psy zostały na miejscu, w okropny sposób poszarpane, trzy inne były ciężko po kilka razy cięte — jeden z nich zginął po czterech dniach w Krasiczynie, mając naruszone płuca; trzy otrzymały lekkie rany — a dwa tylko wyszły cało z tej zaciętej walki.

Ranione psy pozszywane, obandażowane i starannie opatrzone zabraliśmy z sobą na sanie i jest nadzieja, że się wygoją, chociaż długiego potrzebować będą pielęgnowania i nie tak prędko zapomną o walce z dzikiem.

W wypadku tym zastanowienia godnym objawem jest to, że psy, które dopiero świeżo zostały pozbierane i zaledwie piąty raz były puszczane na dzika, tak wielką okazały zaciętość, przez co też i tak wielką poniosły klęskę. Psy te były systematycznie

wprawiane na dziki, naprzód na małe warchlaki, później na mniejsze i większe wycinki a przedostatnim razem na pojedynka prawdziwie kolosalnych rozmiarów, który jednak był o wiele względniejszy od swego następcy, gdyż uciekał przed psami a choć targany dobrze, ciął tylko dwa psy i to nie ciężko. Zdaje się więc, że psy nasze nie doznawszy dotychczas większej porażki, rozzuchwaliły się swem dotychczasowem powodzeniem, a wpadłszy prawie niespodzianie na ogromnego i nadzwyczaj upartego odyńca, drogo swą odwagę przepłacić musiały.

Dzik ten ważył po wypatroszeniu 315 funtów wiedeńskich, jest to prawdziwy typ górskiego dzika, karasiowaty, srebrzysto siwy, z wielkim czubem na łbie ogromnym i spiczastemi małemi uszami. Szable miał nadzwyczaj długie i ostre, któremi zadał najmniej 30 cięć mniej lub więcej niebezpiecznych. *K. R.*

Turza wielka, 18. Maja.

Jak niebezpiecznym może być niedźwiedź dla człowieka, gdy tenże po jego zdobycz sięga, niechaj następny wypadek będzie dowodem. Podwładna mi straż myśliwska rewiru Ilemi (lasy kameralne) zawiadomiła mnie, iż w początku Marca pojawiły się dwa wilki, i na niezbyt wielkiej przestrzeni rozdarły dwa jelenie. Pragnąc ów wypadek sprawdzić i pozyskać wieńce padłych jeleni, a będąc właśnie w górach na Arczycy w celu wysłuchiwania toku głuszców. udałem się 25. Kwietnia w południe z strażnikiem Petrem Mekitynem na wskazane mi przez tegoż miejsce. Przyszedłszy do pierwszego jelenia, zająłem się wyjmowaniem zębów, a strażnika posłałem do drugiego jelenia. W kwadrans ukończywszy moją czynność, poszedłem wzdłuż płynącej rzeczki ku drugiemu jeleniowi spodziewając się, że zastanę tam posłanego strażnika po dokonanej już tej samej operacyi. Gdy wszakże mimo dokładnie wskazanego mi miejsca, nie dalej jak o 300 kroków oddalonego, nie mogłem strażnika przy jeleniu odszukać, zatrąbiłem, a uszedłszy dalej może 30 kroków, spostrzegłem strażnika stojącego po pas w wodzie i wychylającego się właśnie z po za grubej kłody, u brzegu leżącej. Był bladym jak trup i trząsł się jak w febrze. Zapytany o przyczynę tak nadzwyczajnego podrażnienia, nie mógł w pierwszej chwili dać odpowiedzi, wskazał tylko ręką pod górę i jęknął: „Niedźwiedź“. Domyślając się niezwykłego wypadku, począłem badać wskazane mi miejsce, ale prócz mocno już cuchnącego jelenia i świeżych tropów niedźwiedzich, oraz leżącej siekiery strażnika, nic nie znalazłem. Strażnik ochłonąwszy po chwili z przerażenia, przekonawszy się, że mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo, zbliżył się chwiejnym krokiem ku mnie, i opowiedział całe zdarzenie. Przystąpiwszy do jelenia, odstawił o kilka kroków strzelbę nabitą cienkim śrótem, i zajął się odrąbywaniem siekierą głowy jeleniej. Zajęty tą pracą usłyszał nagle po za sobą szelest, i odwróciwszy się ujrzał na kilkanaście zaledwo kroków od siebie grubego niedźwiedzia, zbliżającego się ku niemu z mrukiem. Lubo nieraz już dał dowody zuchwałej nawet odwagi w spotkaniu z grubą zwierzyną, i nie jeden ślad na własnej skórze nosił od dzików i niedźwiedzi, to jednak w tej chwili w obec tak niespodziewanej napaści stracił przytomność, i porzuciwszy siekierę skoczył w wodę. Niedźwiedź widocznie pragnąc tylko obronić swój łup, nie ścigał wroga, lecz siadł przy ścierwie groźnie pomrukując. Ponieważ strzelba o tyle tylko była oddaloną od schronienia strażnika, że mógł ją dosięgnąć, więc chwycił ją i bezwłocznie się zmierzył. Prawa lufa zawiodła, z lewej zaś strzelił na 10 kroków słonczym śrótem. Niedźwiedź odskoczył po strzale na kilka kroków, po chwili zaś ku wielkiemu przerażeniu strażnika, zwrócił się wprost na niego. Co się następnie stało, nie umiał mi opowiedzieć, tyle tylko w swem przerażeniu miał przytomności, iż dał nurka pod kłodę, nad wodą leżącą, i w tej też pozycyi zastałem go. Po śladach skonstatowałem, że niedźwiedź ruszył naprzód kilka kroków ku strzelcowi, potem zaś poszedł wolnym krokiem ku górze. Barłóg jego znajdował się o 32 kroków od rozszarpanego jelenia, a ślady wskazywały, że już kilka dni tam gościł.

Tok głuszców był w tym roku wyborny. Najlepsze toki w górach Karpackich rewiru Łopianeckiego były od 25. Kwietnia do 2. Maja, w którym to czasie na przestrzeni 300 kroków szerokości miałem 18 zasadzonych głuszców. Toki rozpoczęły się 20. Kwietnia, a gdym dnia 9. Maja opuszczał góry, to jeszcze sześć sztuk tokowało.

Najlepszy ciąg słonek odbył się w wspomnianych górach od 27. Kwietnia do 6. Maja, i muszę przyznać, iż znając ciąg słonek w niektórych okolicach Niemiec i Rossyi, nigdzie tyle, ile tu, tych ptaków nie widziałem. *W. Mojewski.*

KRONIKA.

Wydział powiatowy w Rawie odniósł się do Towarzystwa łowieckiego w sprawie, którą w pierwszym Roczniku „Łowca“, pisząc o wilku, poruszyliśmy. Nie łatwo nawet dla wytrawnego myśliwego rozróżnić w pierwszych dniach po urodzeniu młode wilki od lisiąt, a jeszcze trudniej od kundysiąt. Nadmieniliśmy wtedy, iż nieraz się zdarzało, że dawniej Rząd a dziś Rady powiatowe płaciły premije za lisy lub kundysy, nie zaś za wilczęta. Podaliśmy charakterystyczne cechy, jakiemi się te młode zwierzęta od siebie różnią. Dziś mamy dowód, iż twierdzenia nasze były słuszne. Prezes Rady pow. Rawskiej hr. August Łoś, dołączając do urzędowego pisma protokół spisany z włościanami, którzy d. 23 Maja rb. przynieśli ośmioro młodych rzekomo wilcząt, żądając za nie premii; przysyła na okaz dwoje tych zwierząt, i zapytuje, ażali to istotnie są wilczęta, albowiem wezwani znawcy nie mogli stanowczo tej wątpliwości rozstrzygnąć. Przedewszystkiem, winniśmy tu wyrazić całe uznanie nasze prześw. Radzie pow. Rawskiej za taką oględność i ścisłość w swem urzędowem działaniu, a dobre z nich wynikły skutki, bo Rada pow. nie tylko uchroniła się od wydatku, ale nadto zapobiegła tym sposobem w swoim powiecie, możliwym tego rodzaju pretensyom lub wyzyskiwaniom. Wybrane d. 22 Maja w Nowosiółkach z gniazda młode — są niezawodnie nie wilczętami, lecz lisiętami, na pierwszy bowiem rzut oka mordki ich w trójkąt zaostrzone, z włosem w żółtawy kolor przechodzącym, nieomylnie je jako takie cechują. Niech ów wypadek będzie przestrogą dla innych Rad powiatowych.

Dolina, 4 Czerwca 1880 r.

Mamy w tej wiośnie w Karpatach Dolińskich wcale pokaźną liczbę niedźwiedzi, które w wypędzonych na połoniny owcach znaczne już poczyniły szkody. W zeszłym tygodniu z jednej zagrody w Łolinie (państwo Wełdzirz) wzięły dwa niedźwiedzie pomimo najsilniejszego ze strony pasterzy i gromady psów oporu, 16 sztuk owiec, w Grabowie zaś (rewir Łopianecki) pod samą wsią, na polanie Tokarnia, zabrał ogromny niedźwiedź w jednym dniu dwie owce. Dnia 22 Kwietnia otropiono pod Ludwikówką na białej stopie siedm niedźwiedzi, trzy mamzery, a cztery grube sztuki. Przedwczoraj atakowany niedźwiedź przez psy pod Brazą uszedł bez strzału. *A. Brzostowski.*

---

9 Czerwca.

Na wystawie międzynarodowej psów w Berlinie, odbytej w dniach od 21 do 25 Maja, otrzymał Ordynat Zbigniew hr. Węsierski-Kwilecki na Wróblewie za wyżlicę irlandzką, seterkę list pochwalny, za 9 szczeniąt zaś rządowy medal. Pieski rozkupiono po 300 marek, suczki po 200 m. Najlepsza suczka poszła do Anglii w cenię 300 m. Wylęgły się d. 27 Lutego r. b. — Psów wystawionych było 1045 prócz szczeniąt. *Ł.*

Krukienice, 4 Czerwca.

Upraszam o umieszczenie w kolumnach „Łowca“ kilku uwag moich dotyczących kłusownictwa. Badałem troskliwie źródło jego u nas, i

w końcu powziąłem przekonanie, iż głównie nasi właściciele większych posiadłości są powodem szerzenia się kłusownictwa, albowiem nie tylko pozwalają na własnych obszarach polować swoim furmanom, kucharzom, lokajom i ogrodnikom, ale nadto najmują dla nich polowania gminne. Każdy mi przyzna, iż gdzie Właściciel jest myśliwym i dba o swoją przyjemność i pożytek, tam zwierzyny dosyć, przeciwnie u niemyśliwego wybije ją kłusownik, najczęściej miejscowy włościanin, który zasmakowawszy w tego rodzaju lekkim zarobku, już do pracy na roli staje się niechętnym, a znając dokładnie knieje i przesmyki zwierzyny i sam ją bezlitośnie tępi, i dzieci też swoje i wnuki wcześnie do tego rzemiosła zaprawia. Tym to sposobem wytwarza się najgroźniejsza dla zwierzostanu plaga, która gdy się gdzie zagnieździ, to już jej ani usilne starania następnego Właściciela myśliwego, ani c. k. Starostwa wraz z Żandarmeryą nie łatwo wytępią. Nie uczmy więc chłopów w osobach naszych lokajów, furmanów, ogrodników i t. d. myśliwstwa, z którego następnie wyradza się kłusownictwo, a ponieważ jako myśliwi potrzebujemy pomocy, szukajmy jej raczej u oficyalistów, którzy dbając o swój byt kłusownikami się nie staną, owszem jako myśliwi gorliwie do wytępienia kłusownictwa przyczyniać się będą. Żywy tego przykład znalazłem u hr. Stanisława Stadnickiego, który nigdy chłopów, lokajów, furmanów lub kucharzów do myśliwstwa nie używa, lecz tylko oficyalistów, u którego też kłusownictwo prawie nie istnieje. *Jan Ostrzechowski.*

OGŁOSZENIE.

W numerze Sierpniowym „Łowca“ zakończymy cenną pracę hr. Kazimierza Wodzickiego: „*Wspomnienia z łowów na dziki*“. W poprzednich rocznikach „Łowca“ umieszczone były wspomnienia myśliwskie z łowów na niedźwiedzie i wilki. Wiemy, jak wielkie zajęcie obudziły one w kole naszych czytelników — ogłaszamy je przeto w osobnej odbitce, i jesteśmy pewni, że czynimy tem wielbicielom zasług znakomitego badacza przyrody niemałą przysługę. Redakcya przyjmuje przedpłatę na ową odbitkę, wynoszącą 1 złr., oraz nadmienia, iż cena jej później w handlu księgarskim znacznie podniesioną będzie.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.